

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 17 sierpnia 1947 r.

Nr 33 (90)

TREŚĆ NUMERU: Z poezji Wojciecha Bąka; L. Brodowski: Współpraca i walka; L. Szafarski: Pochodzenie marksizmu; H. Pawlicki: Nietzsche i Tomasz Mann, Ks. A. Lorens: Na marginesie artykułu „Dwie książki Walentego Majdańskiego; Z. Jakimiak: Śpiew ludu; St. Podlewski: Przemarsz przez piekło; W. Kieszkowska: Jak Aleksander hr. Chodkiewicz w roli Don Kichota walczył z wiatrakami; Z zagadnień gospodarczych; Śladami Hitlera; Wojna nerwów; J. Pertek: Szeroki horyzont; Metamorfoza admirała Darlan.

Jan Meysztowicz

Rozważania o racji stanu

Każda epoka wzbogaca nasze słownictwo, między innymi w dziedzinie polityki, wprowadzając bądź nowe pojęcia, bądź to obrabiając już istniejące w sposób bardziej dostosowany do zjawisk nowych. I tak np. z epoki 1900 — 1925 pochodzą splendid isolation, wait and see, cordon sanitaire, a z późniejszych niepodzielność pokojową, piąta kolumna, infiltracja gospodarcza, satelitwo. Politycy w poszukiwaniu frapującej i syntetycznej formułki dla interpretacji jaką nadają swym celom, stają się nieraz autorami skrótów, które są tak trafne, że zostają recypowane przez innych i wchodzą do międzynarodowego słownictwa.

Większość tych pojęć nie jest bynajmniej nowa. Ubiiera się je tylko inaczej dla zwiększenia ich siły ekspresji lub zgrania ich z obyczajami epoki do której się odnoszą. Istnieje bliskie pokrewieństwo pomiędzy lennik — wasal — protektorat — satelita lub koncern mocarstw — mocarstwa sprzymierzone — wielka trójka. Są natomiast pojęcia tak podstawowe, że pozostają aktualne w tej samej szacie słownej przez kilka lub więcej następujących po sobie, lecz bardzo różnych, epok. Należą do nich RACJA STANU.

Genezą swoją sięga to pojęcie Włoch średniowiecznych. Spotykamy je w raportach renesansowych ambasadorów weneckich. W wieku 18 poprzez upolitycznienie mas, państwa zaczęły tracić swój charakter dynastyczny i operowanie racją stanu stało się powszechne. Ciekawą pozostałością epoki dynastycznej jest używana do dziś dnia w Wielkiej Brytanii formułka His Majesty's enemies (wrogowie Jego Królewskiej Mości).

Pojęcie racji stanu spotykamy codziennie w prasie, dyskusjach i rozważaniach na każdym szczeblu. Stałe i żywe zainteresowanie opinii publicznej polityką zagraniczną jest zupełnie zrozumiałe. Doświadczenie wykazało, że byt i dobrobyt obywatela, choćby najbardziej anonimowego, są jej bezpośrednią funkcją.

Co to jest racja stanu? (Pojęcie to jest zdawałoby się tak proste, że posługujemy się nim stale w rozmowie i na każdym poziomie publicystyki. To nie jest jednak takie proste. Aleksander Bocheński naprzykład podaje, że jest to „wznoszenie się narodu w hierarchii międzynarodowej“. Czyli, że kryterium nacjonalistyczne jest naczelne. Pojęcie jednak racji stanu jest wcześniejsze niż uświadomienie sobie przez społeczność więzi narodowej. Trening myśli czytelnika lub słuchacza jest pod-

stawowym zadaniem publicysty. Teoria totalistyczna twierdząca, że racja stanu może wymagać oklamywania czyli ogłupiania obywateli jest fałszywa. Publicysta nie może uniknąć pewnej popularyzacji, winien się zatem posługiwać, o ile definicja jest konieczna, definicją najprostszą. Jest ona specjalnie wskazana kiedy na skutek tempa wydarzeń napotykamy na fatalną w skutki tendencję mieszania pojęć. Szukając definicji najprostszej zdajemy sobie sprawę, że dotknie ona powierzchownie tylko tematu ale za to uwzględni najważniejsze przesłanki.

Pojęciem racji stanu operujemy w stosunku do Państwa. Przeżywamy dzisiaj szczytowy ale i końcowy moment zainteresowania tą formą organizacyjną. Ale podobnie, jak używamy pojęcia polityki w najbardziej różnorodnych dziedzinach rozwijającego się życia społecznego, pojęcie racji stanu zaczęło nurtować z chwilą, kiedy w danej grupie jednostek powstała wyraźna świadomość solidarności interesów, nie konieczne wyłącznie materialnych, wewnątrz tej grupy, co wcale się nie pokrywa z świadomością odrębności w stosunku do innych grup. Stąd też kryterium nacjonalistyczne, które do wczoraj było jeszcze dominujące w strukturze politycznej świata, nie zawsze jest dla racji stanu wystarczającym sprawdzianem.

Czy nie wystarczy powiedzieć, że racja stanu to poprostu prak-

tyczna wykładnia postępowania w celu zapewnienia danej społeczności w danej koniunkturze, czy zbiegu okoliczności, maksimum korzyści moralnych i materialnych? Społeczności nie są zbiorówkami mechanicznymi. Nie były nimi nawet księstwa XVI wieku, które panujący wymieniali między sobą jak stada w okresie pasterskim, dawali w posagu lub w zastaw jak srebra rodzinne. Społeczność, której dotychczas najwyższą formą był naród, jest tworem żywym, w którym pierwiastki materialne, jak położenie geograficzne, gleba, bogactwa demograficzne i mineralne są organicznie zespolone z tymi wszystkimi, które dały laureatowi Nobla, Carrellowi asumpt do napisania książki „Człowiek istota nieznaną“. (Zacytuje tu dwa powiedzenia Herriota „la culture c'est ce qui reste, quand il n'y a plus rien“¹⁾ oraz „la nation c'est la volonté de créer des grandes choses ensemble“²⁾).

Racja stanu jest wypadkową dążeń elementów siły fizycznej i gospodarczej i pierwiastków psychicznych, względnie duchowych. Ta wypadkowa, rezultat woli siły wektorów na nią działających, musi zawsze gdzieś prowadzić. Gdy sędziwy Talleyrand robił na łożu śmierci rachunek sumienia

¹⁾ Kultura to jest to co pozostaje kiedy niema już nic.

²⁾ Naród jest to wola dokonania wspólnie rzeczy wielkich.

(a był on bardzo ciężki dla ex biskupa d'Autun) miał wyszeptać te słowa „J'ai servi les intérêts permanents de la France“³⁾.

Ów wyjątkowo przenikliwy umysł polityczny nie wspominał o raison d'état. Użył sformułowania wyższego rzędu. Interesy permanentne Francji, czy innego narodu, to niekoniecznie i niezawisze „wznoszenie się narodu w hierarchii międzynarodowej“. Hierarchia ta może być zbrojecka. Narody podlegają prawu „panta rei“ (wszystko płynie). Ich interesy permanentne są, jak sądzę, sumą warunków bez zaistnienia których, bez względu na okres historii w którym się naród znajduje, żadna społeczność nie może żyć, a tym bardziej się rozwijać. Życie jej jest determinowane przez skrzyżowanie warunków fizycznych i psychicznych. Czytanie racji stanu, jak dżungli, którą Kipling porównał do otwartej księgi, jest naczelnym zadaniem polityków, którzy wnioskami swymi dzielą się ze społecznościami jakie prowadzą.

Tych wypadkowych — racji stanu jest prawie zawsze kilka, w zależności od politycznej interpretacji i przewidywań wypadków. Wyjątkiem są racje stanu narodów bardzo zrównoważonych i dojrzałych, żyjących w okresie pozbawionym wstrząsów, tak zw. zakrętów historii. Racja

³⁾ Służyłem permanentnym interesom Francji.

stanu któraby w efekcie przyniosła zmniejszenie lub zniszczenie przesłanek życia narodu okazała by się fatalnie wybraną. I żadne dorabianie jej ex post skrzydeł czy legend tego nie zmieni. Walka o wybór racji stanu, trudniej jej realizacja, jest bardzo trudna i zacięta. Od tego która zwycięży zależy dobra lub zła usługa jaką politycy oddają permanentnym interesom narodu.

Istnienie dwóch lub więcej racji stanu w tym samym okresie czasu i okolicznościach nie jest przeważnie należycie rozumiane. I dlatego gdy polityk, publicysta, czy zwykły rozmówca, stwierdzi, że racja stanu Polski wymaga tego a tego, zakładając oczywiście, że ją sam rozumie i nie używa tego pojęcia jako oklepanego frazesu, zdziwiony jest i oburzony, gdy słuchacze i czytelnicy nie są tym przekonani. Jego kardynalnym obowiązkiem jest po pierwsze wybrać tę rację stanu, która w danej koniunkturze służy najlepiej permanentnym interesom narodu, po drugie potrafić ją realizować, pokonywując gwałtowne nieraz sprzeciwy tych, których nie zdołał przekonać i którzy są wyznawcami, nieraz w najlepszej wierze, innej racji stanu.

Przed Włochami w 1939 stał, zgrubsza zarysowany, następujący wybór: a) uznanie że korzyści z istnienia w okresie 1936—39 osi Rzym — Berlin się wyczerpały, że Niemcy, zwłaszcza hitlerowskie, staną się niemożliwym partnerem jako zwycięzcy, że charakter wojny jaki narzucili predestynuje ich prędzej czy później, do obozu antyniemieckiego, uzyskując za to od razu pokąsną cenę i piękne perspektywy po wspólnym zwycięstwie, b) neutralność i uzyskiwanie maksymalnych korzyści od stron obu, aż do końca wojny, względnie dołączenie możliwie najpóźniej do silniejszego za jak najwyższą cenę, jak najmniejszym kosztem. Wojna jak każda operacja polityczna ma swoją cenę, c) założenie, że pomimo uciążliwości Niemiec jako alianta ich zwycięstwo jest pewne i długotrwałe, a za tym trzeba być po stronie zwycięzcy.

Stanowisko Hiszpanii było podobne do wariantu b) z tym, że Franco gotów był w 1941 wejść do wojny po stronie Niemiec za cenę francuskiego Marokka, którą Berlin uznał za zbyt wysoką.

Błędy Mussoliniego należą douczajaco do obu kategorii: materialnej i psychicznej. Z jednej strony Włosi byli zbyt słabi, aby się wydatnie przyczynić do zwycięstwa Niemiec, z drugiej naród

Wytyczne

Wyjątek z listu Ojca Św. Piusa XII do Episkopatu Polski

„... Miłość dla braci w niedoli powinna pobudzać wszystkie serca do zwiększonej działalności społecznej i dobroczynnej. Znamieniem bowiem wiary, jej podniętą i życiem jest miłość, której dług, mimo spłat ustawicznych, nigdy nie wygasa. Wasze zalety pasterskie dopełniane charyzmatami łaski Bożej, niech w tej tragicznej chwili dziejowej jaśnieją taką dostojnością, by przymuszały do podziwu nawet wrogów wiary. Potężniej zaś i wymowniej niż słowa, niech działają i błyszczą Wasze czyny.

„Chrześcijaństwo“, gdy jest przedmiotem nienawiści świata, działa nie tyle przekonywującymi dowodami, ile raczej wielkością swego czynu (św. Ignacy M. do Rzymian 111, 3). Zaniedbanie i pogardzie boskiej nauki przeciwstawiajcie wzirosłość niebieskiej mądrości, a upadkowi obyczajów bezwarunkową sumiennosc w pełnieniu pasterskich zadań.

Przeciwnicy Wasi, łaską bożą poruszeni, może kiedyś pokochają to, do czego dziś nienawiścią palają...“

Z poezji Wojciecha Bąka

Ty bądź głupim — bo głupim w blasku świtu dano
Proroków objawienie!
Nadzieją trawy pachnie im skoszone siano,
A wiarę głoszą cienie!
Głupi oczy psa czyta jak przyjaciół listy,
A miłość w każdym liście!
Głupiemu zachwyt rośnie w kłęsce oczywistej,
Zwycięstwo głoszą liście!
Głupiemu kasztan nigdy nie będzie kasztanem —
On jego szum rozumie,
Głupi ma oczy w locie wróbla oczy zakochane
I w miejskim gwarnym tłumie!
Głupiemu trawa zapach i powiew oddała,
Szyby zachodu złoto —
I kroczy miastem z śmiechem, szepcąc: Chwała, chw.
Mądrym siłom tywota!
Dokoła mądrzy krzyczą! A głupi z uśmiechem
Omija ich z daleka —
I przynosi słowami gwiazd i trawy echa
I nadzieję, i miłość człowieka!

**

Czasem trzy, cztery słowa... i nagle muzyka,
Która się wyzwoliła, odrzuciwszy słowa —
I nie ma liter — i dźwięk słów umilka —
A w tym milczeniu tyle jest czystej melodii —
I coraz uroczyściej i coraz pogodnie!
Wysoka mowa.
Tak czasem malarz, kreski postawiwszy cztery,
Bramę światła otwiera, choć światło nie świeci —
I znikły nagle kreski jak słowa litery
I znika nagle światło i dźwięk czysty wleci...
— I pełno nagle czystej dokoła melodii,
Co coraz uroczyściej brzmi, coraz pogodnie!
Jest cicho — a w tej ciszy ja w melodii stoję —
O nic się już nie troskam, niczego nie boję —
Mam oczy nie widzące, uszy mam bez słuchu,
A pełno jest widzenia i dźwięku w mym duchu —
I coraz uroczyściej brzmi, coraz pogodnie!
Nad wiekiem więzień, głodu, pychy, bitw i zbrodni
Wysoka mowa!

**

Wszystkie rzeczy chcą dzisiaj dojrzewać do śpiewu —
Przypatruję się różom, przysłuchuję się drzewom
I pełno róż jest we mnie — i pełno kasztanów
I wpływają ze mnie muzyką weszbraną,
Która słowa odrzuca i zachwytem wzlata
Na pochwałę zielonych, kwitnących spraw świata!

**

Be przyjdzie ten, który kamienie Zegary chcą go! Jak wezwanie
Spowiadać będzie, kochać wiatr Brzmi dźwięk ich w księżycowy
I swierzać mu się będą cienie, czas —
Zabrzmiał mu głosem stopy ślad! I w lampach okien jest błaganie
I w cieniu, gdy blask lampy zgasł!
Ognady, których nikt nie chwali,
Głoszące zielen w szarość miast — I we mnie, który tym bełkotem
On słowem zielen tę ocali, Wolam go w ciszę smutną miast —
W daleki ją przenosząc czas! I w świetle latarń, gdy tęsknotą
Pakrewne są blaskowi gwiazd...

Milercy, którym braknie słowa,
Wierście: w nim wasze jęki drżą — Niepochwalonych gwiazd i rzeczy,
Klęczący, on wasz gest zachowa — Niewyrażonych warg i ócz —
Płaczący, waszą spłynię izą!
Przyjdź bliski światu,
I ludzie, krew w nim słysząc własną, przyjdź człowieczy
Tak prosto wejda w jego śpiew, I świata nas i siebie ucz!
Jakby szli macierzyńskim miastem,
Gdzie każdy dom ma czułość drzew! Wszyscy czekają twego głosu,
Ja wołam go! Czekają parki, Niech słowa twoje dumnie brzmią
W północy czas na jego głos — Na chwałę ziemi i niebiosom!
I bruk o jego błaga wargi, I spokój będzie dany nocom —
Pragnąc przuć niemy les! I zachwyt będzie dany dniom!

włoski nie chciał się bić dla wska-
zanych mu przez Duce celów.
Gdy Brytyjczycy nie zgodzili się
— jak to mogli z łatwością uczynić —
na pokojowe propozycje Hitlera kon-
iec wojny znikł z ol-
skiego no jzontu.

Wielka Brytania w 1940 miała
do wyboru: pójść na kompromi-
sowy pokój z Niemcami, zawarty
w formule „morza nam — Euro-
pa wam“ albo walczyć dalej sa-
ma. Racja stanu jaką wybrali za-
wierała rzadko spotykaną harmo-
nię elementu materialnego (ma-
rynarka, lotnictwo, kanał, niena-
ruszone, USA i Zw. Radziecki,
imperium) i elementu irracjonal-
nego („Anglia wojen nie przegry-
wa — Hitler nie jest dżentelme-
nem — co ci Niemcy sobie w
ogóle myślą“ itd.).

Francja w 1939 nie będąc mi-
litarnie przygotowaną (z czego
sobie jej politycy nie zdawali
sprawy) mogła nie dotrzymać
swych zobowiązań i nie wejść do
wojny, co by praktycznie uniemo-
żliwiło W. Brytanii wykonanie
gwarancji polskiej. Niemcy po
zgnieceniu Polski byłiby jeszcze
silniejsi ale można było (przy
obrzymym ryzyku) przyjąć (tak
rozumował min. spraw zagr. Bon-
net), że pomimo ich paktu o nie-
agresji ze Zw. Radzieckim zwró-
cą oni swoją uwagę na wschód,
a nie na zachód. W 1940, po klę-
sce, przed Francją stały następu-
jące alternatywy:

a) dalsza wojna z Afryki i po-
zostawienie terytorium metropol-
itarnego pod okupacją bez porów-
nania cięższą niż ta która nastą-
piła,

b) pomagać Niemcom wszystki-
mi środkami, poza wejściem do
wojny u ich boku, z nadzieją uzy-
skania różnych korzyści po ich
zwycięstwie, które wydawało się
wybitnie prawdopodobne (wie-
rzył w nie gen. Weygand),

c) poddanie się na najlepszych
warunkach jakie można było wte-
dy uzyskać i czekanie co będzie
dalej, nie angażując się zbytnio
ani w jedną stronę, ani w drugą.
Na pierwszy rzut oka Petain
wybrał właśnie tę alternatywę.
Była ona oparta na fałszywym
założeniu, że II wojna niemiecka
jest zjawiskiem politycznym, któ-
re się narodziło i rozwijało w kli-
macie mającym cokolwiek wspóln-
ego z 1914. Petain, zawodowy
oficer, wierzył, że Wehrmacht
składa się, a raczej dowodzony
jest, przez Europejczyków.

Klęska militarna Francji była
przede wszystkim owocem dłu-
goletniej quasi — dyktatury Pe-
taina we wszystkim dotyczącej
obrony narodowej. Petain w po-
czuciu winy mógł wziąć na sie-
bie ratowanie Francji. Ale wie-
my, że patriotyzm Petaina (sam
patriotyzm zresztą nigdy nie wy-
starcza u przywódców, jest po-
budka, ale nigdy nie winien być
wystarczającym usprawiedliwie-
niem) nie był bynajmniej najwa-
niejszym lub jedynym jego mo-
tywem. W okresie od Mona-

chium do czerwca 1940, Petain
z zaskakującą przebiegłością i
jak na starca żądza władzy prze-
widywał klęskę, czekał na nią i
przygotowywał się do likwidacji
przy tej okazji III Republiki, któ-
rej nienawdził. Regime Vichy
był nie tylko próbą ratowania co
się da i wyrazem pewnej racji
stanu, ale także próbą narzucenia
Francji sui generis faszystwu.

Racja stanu wybrana przez Pe-
taina, za którym prawie cała
Francja stanęła entuzjastycznie,
miała trudną do uchwycenia, ale
głęboką skazę. Po stronie mate-
rialnej miała wiele cech słuszno-
ści. Natomiast zapoznanie przez
nią pierwiastków psychicznych
w indywidualności narodu fran-
cuskiego wywarło wpływ tak
ujemny, którego rezultaty trwa-
ją jeszcze, że nie można jej unać
za trafnie wybraną. Petain miał
rację, że III Republika była ustro-
jem dojrzałym do niesławnej
śmierci. Ale na egoizm (je m'en
f... — taka była reakcja niejedne-
go człowieka ulicy w 1940 kor-
rupcje moralna, uznanie franka za
jedynę bóstwo, wypranie z treści —
w oczach znacznego odłamu mło-
dzieży — wychańcowanych na sztan-
darach „honneur et patrie“ na to
wszystko Vichy nie tylko nie było
lekarstwem, ale pogłębiało cho-
robę. „Quand on ne peut mordre
la main qui vous oppresse il faut
bien la lécher“⁴⁾ tak się wyrażali
apologeci Vichy. Francja zasiada
dzisiaj wśród mocarstw — zwy-
cięzców, ale byłoby jej o wiele
bliżej do zdrowia gdyby w 1940
potrafiła wybrać lepszą rację sta-
nu.

Przykładem rozumnego wybo-
ru są Turcy. W październiku
1939 podpisali przymierze z Fran-
cją i W. Brytanią. Po klęsce Fran-
cji wynegocjowali zgodę Londy-
nu na neutralność, podczas któ-
rej starali się trzymać krótko von
Papena, ale ulegli tu i ówdzie pre-
sji niemieckiej, utrzymali intym-
ny kontakt z Londynem, ale za
umiarkowaną cenę. W 1943 anglo-
amerykanie zwrócili się do nich
o wejście do wojny. Turcy nie od-
mówili, ale zażądali takich ilości
sprzętu, że alianci kwaśno zre-
zygnowali z ich pomocy.

Czechosłowacja — a jej racja
stanu jest z natury rzeczy zaw-
sze kapitalnej wagi dla nas —
zdała egzamin dojrzałości poli-
tycznej. Zawrotna dysproporcja
jej i naszych losów wojennych
sprawia, że mamy tendencję
twierdzić, że Czesi stawiają spra-
wę po kupiecku. A priori nie ma
nic złego w tej metodzie, ale tak
że nie należy zapominać, że w
1939, od Anschlussu do Mona-
chium, Czechosłowacja była go-
towa (lepiej od nas) bronić swych
granic z bronią w ręku. Wiemy
dlaczego do wojny nie doszło i
nie ma żadnej podstawy twier-
dzić, że armia czechosłowacka
nie spełniłaby swego obowiązku.

4) Gdy nie można ugryźć ręki,
która cię gnębi, trzeba ją lizać.

Są natomiast liczne podstawy do
twierdzenia odwrotnego. Stąd też
pochodzi głęboki uraz jaki Cze-
si jeszcze posiadają w stosun-
ku do tych, którzy skapitulowali
w 1938. Dowodem zupełnie nie-
samowitego bigosu w polskiej gło-
wie było powiedzenie jakie sły-
szalem w 1944 z ust bardzo wy-
sokiego urzędnika politycznego
rządu londyńskiego „Czechosło-
wacja to naród kupców, a nie ry-
cerzy“. Żaden naród nie może re-
cypować gotowej formułki racji
stanu, choćby najlepszej, od są-
siada. Każdy naród jest inny, a
w podchodzeniu do wyboru racji
stanu Czesi przewyższają nas o
głowę.

Związek Radziecki, który od
1933 znajdował się stale w bar-
dzo skomplikowanej i niebez-
piecznej sytuacji, potrafił wybie-
rać i zmieniać rację stanu z traf-
nością, której trudno nie uznać
za imponującą. Oczywiście Zw.
Radziecki miał potężne karty w
swym ręku. Partnerzy i przeciw-
nicy nie zawsze grali dobrze. Ale
w polityce trzeba grać tymi kar-
tami jakie się ma, a nie, narzekając
że są kiepskie i czekać na następ-
ne rozdanie. Gra ta nie odbywa
się w abstrakcyjnym, ale ludz-
kim świecie. Spieranie się czy to
błąd przeciwnika, czy załuga
własna doprowadziła do rezulta-
tu jest zajęciem jałowym.

Rację stanu określiłem jako wy-
padkową dążeń elementów siły
fizycznej i gospodarczej i pier-
wiastków psychicznych, wzglę-
nie duchowych. Otóż, jak sądzę,
o ile nie można tracić z oczu tych
ostatnich to doświadczenie histo-
rii wskazuje, że mogą one zna-
leźć odpowiedni wyraz i stać się
realnie konstruktywne tylko w
oparciu o materialną siłę. „Mierz-
sity na zamiary“ jest absurdem
na który stać było tylko Mickie-
wicz w poetyckiej przenośni
Prorocy bezbrojni nie znajdują
posłuchu. Cała potęga Rzymu
nie potrafiła zniszczyć religii
objawionej. Ale chrześcijaństwo
z czasem odniosło poważne ko-
rzyści z poparcia „bracchium se-
culari“. Na armatach Fryderyka
Wielkiego było wyrte „ultima
ratio regis“. Dzisiaj armaty nie
są jedyną ultima ratio. Równie
ważne są — potencjał gospodarczy
i żywotność kolektywna. Niemcy
mieli materialnie szansę ogrom-
ną wygrania tej wojny. Przegrali
ją ze względów politycznych.
Przegrali wyścig mózgów. Ale
gdyby koalicja antyniemiecka nie
rozporządzała także potężnymi
środkami materialnymi, hitleryzm
by triumfował i trwał — chyba
żeby nastąpił drugi cud à la
Joanna d'Arc.

Pozwoliłem sobie zacytować
pokrótce parę przykładów wybo-
ru racji stanu przez różne pań-
stwa w latach ostatnich. Posłuży
to jako tło do rozważań nad tym
co nas najbardziej interesuje, nad
polską racją stanu od 1919, aż po
dzień dzisiejszy.

Jan Meysztowicz

DO WIELEBNYCH KSIĘŻY

W czasie od dnia 26—28 sier-
pnia b. r. odbędzie się w Lublinie
kurs duszpasterski dla księży z
następującym programem:

Wtorek, dnia 26 sierpnia:
godz. 9-ta — Masza Św.
godz. 10-ta — Referat: Huma-
nizm — jego pojęcie i typy —
wygłosi Ks. Prof. dr Józef Pa-
stuszka;
godz. 16-ta — Referat: Problemy
humanizmu w życiu społecz-
no-gospodarczym — wygłosi
J. E. Ks. Biskup dr Stefan
Wyszyński;
godz. 17-ta — Referat: Pełnia
Humanizmu Chrześcijańskiego
w jednostce — wygłosi J. M.
Ks. Rektor dr Antoni Słom-
kowski.
Środa, dnia 27 sierpnia:
godz. 10-ta — Referat: Humanizm
chrześcijański w duszpaster-

stwie parafialnym — wygłosi
J. E. Ks. Biskup dr. Czesław
Kaczmarek z Kielc;
godz. 11-ta — Referat: Humanizm
chrześcijański w duszpaster-
stwie szkolnym — wygłosi J.
E. Ks. Biskup Michał Klepacz
z Łodzi;
godz. 16-ta — Referat: Pełnia hu-
manizmu chrześcijańskiego w
rodzynie — wygłosi Ks. Prof.
dr Piotr Kałca, profesor K.U.L.
godz. 17-ta — Referat: Pełnia hu-
manizmu chrześcijańskiego w
państwie — wygłosi dr Henryk
Dembiński, profesor K. U. L.
Czwartek, dnia 28 sierpnia:
godz. 10-ta — Referat: Humanizm
chrześcijański w enc. „Corpus
Christi Mysticum“ — wygłosi
O. dr Ludwik Krupa, O. F. M.
z K. U. L.

godz. 11-ta — Referat: Ośrodki
kształtowania humanizmu
chrześcijańskiego — wygłosi
J. E. Ks. Biskup dr Zdzisław
Goliński z Lublina;

godz. 12-ta — Złudzenia humaniz-
mu pozachrześcijańskiego —
wygłosi redaktor, mgr. Jerzy
Braun z Warszawy.

Referaty wygłaszane będą w
Katolickim Uniwersytecie Lubel-
skim.

Księża pozamiejscowi chcący
wziąć udział w Kursie Duszpa-
sterskim zechcą powiadomić Kan-
celarię Rektorską Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego (Lublin,
Aleje Racławickie 14).

W czasie Kursu przewidziane
jest zwiedzanie miasta i Maj-
danka.

Leon Brodowski

WSPÓŁPRACA I WALKA

Ziemie Odzyskane są ciekawym terenem obserwacji dla socjologa. Tak np. badając geograficzne rozmieszczenie rozmaitych grup ludności w zależności od głównego powodu osiedlenia, można sformułować zjawisko osiadania elementów „szabrowniczych” (przeważnie z Polski Centralnej) w miastach nie zniszczonych przez działania wojenne, w miastach więc często najpiękniejszych. Stwierdzić to mogą ci, którzy podejmują jakąkolwiek ideową akcję na Ziemiach Zachodnich. Ruiny miast kryją przeważnie ludzi najżywiej reagujących na pracę ideową, miasta najbogatsze są zwykle dla inicjatorów ostrzeżeniem, że znajdują w nich ludzi, których życiowe zainteresowania nie przekraczają problemów wegetacji i materialnego interesu.

Wśród duchowieństwa katolickiego Ziemi Odzyskanych można również zauważyć działanie tego socjologicznego zjawiska geografii ideologicznej ludności osiedleńczej. W parafiach najbardziej zniszczonych pracują kapłani najgorliwsi. Widocznie i w tej warstwie narodu gra rolę sybarytyzm.

Warunki pracy księży na Ziemiach Odzyskanych są bardzo trudne. Przede wszystkim dlatego, że księży jest za mało. Wiele kościołów piastowskich ocalonych z pożogi wojennej nie ma jeszcze dotąd swoich proboszczów. Czynnici proboszczowie muszą obsługiwać przeważnie po kilka miejscowości. Skupiska ludzkie są tu ubogie i nie mogą nieraz zapewnić środków utrzymania dla swych księży wraz ze służbą kościelną (organista, kościelny). W interesie stabilizacji stosunków na Ziemiach Odzyskanych jest — wydaje mi się — nieodzowna pomoc finansowa państwa dla duchowieństwa parafialnego. Państwo które wypłaca z budżetu Ministerstwa Oświaty pensje prefektom i katechetom, a z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej kapelanom wojskowym, winno również tak jak przed wojną dawać uposażenie księżom, pracującym w administracji kościelnej. Wchodzi tu w grę suma około 2 miliardów złotych rocznie, jeśli wziąć pod uwagę, że przeciętnie w ostatnich latach przed wojną wydatki Państwa Polskiego na wyznanie katolickie wynosiły w budżecie około 20 milionów złotych. W dzisiejszych warunkach uposażenie na jedną parafię wynoszące 20.000 zł, odegrałoby, sądzą, dużą rolę w umocnieniu finansowych podstaw pracy Kościoła na Zachodzie.

Praca księży jest na Ziemiach Odzyskanych znacznie cięższa niżeli w Polsce Centralnej także dlatego, że ludność parafij jest bardzo zróżnicowana pod względem obyczajów, temperamentów, praktyk religijnych i sposobów reagowania na problemy współczesnego życia.

Proboszczowie na terenie administracji apostołskich są przeciętnie pracą. Nawet i w miasteczkach powiatowych tych ziem zdarzają się wypadki, że jest tylko jeden ksiądz, który jednocześnie jest proboszczem, prefektem, katechetą, kapelanem szpitalnym i czynnym ponadto uczestnikiem różnych instytucji i organizacji społecznych. Toteż większość księży na Ziemiach Odzyskanych nie ma czasu na intelektualne dokształcanie się. Wielu księży nie ma możliwości śledzenia prasy katolickiej, nie mówiąc już o czytaniu poważniejszych ksiązek.

Każdy z księży na Ziemiach Odzyskanych, by sprostać rozlicznym zadaniom, pracować winien w najwyższym napięciu wszystkich swych sił. Zarzykowałbym twierdzenie, że najaktywniejszy element wśród księ-

ży tutejszych to przesiedleńcy z Buga. Diecezje Polski Centralnej traktują obowiązek wysyłania swych kapłanów na Zachód zbyt po macoszemu. Odstępują księży niechętnie i to przeważnie jednostki poniżej miary przeciętnej.

Jeśli dodać do wszystkich wyżej wymienionych trudności fakt specjalnie silnego rozsprężenia obyczajowego wśród osadników, przybyłych tu z Polski Centralnej często w poszukiwaniu lekkiego zarobku, to pracę Kościoła na Ziemiach Odzyskanych można śmiało przyrównać do pracy terenów misyjnych. Zakony katolickie i organizacje katolików świeckich mają tu wspaniałe pole do działalności apostołskiej. Najważniejszą troską Kościoła na tych ziemiach jest przede wszystkim powiększenie co najmniej dwukrotne ilości księży. Należy szkolić zastępy nowych, młodych kapłanów. Z punktu widzenia państwowego oceniła tę potrzebę Rada Naukowa Ziemi Odzyskanych, która uchwaliła przed rokiem wniosek dla Rządu o konieczności powołania na Uniwersytecie Wrocławskim Wydziału teologicznego. Mimo starań ze strony Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska dotąd Rząd wniosku tego nie zrealizował.

Najważniejszą jednak trudnością w całym problemie kształcenia kapłanów jest niewystarczająca liczba powołań kapłańskich. O tym stanowczo zbyt mało pisze w Polsce prasa katolicka.

A tymczasem — nie wiem, czy wszyscy katolicy należycie są o tym poinformowani — mimo stałego wzrostu potrzeb duszpasterskich, już od szeregu lat krzywa powołań kapłańskich stale się obniża. I tak, gdy w r. 1934 mieliśmy 2.429 alumnów, to w roku 1939 już mniej, bo 2.078, a w r. 1946 zaledwie 1.134 alumnów. A więc w ciągu ostatnich dwunastu lat liczba kandydatów do stanu duchownego zmalała więcej niżeli dwukrotnie.

Ażby całkowicie sprostać potrzebom Kościoła w Polsce, potrzeba nam około 16.000 kapłanów. Jeśli chcemy liczbę tę osiągnąć chociażby przy końcu okresu naszego pokolenia, należy kształcić czterokrotnie więcej alumnów, niżeli mieliśmy ich w roku zeszłym.

Źródło kryzysu powołań kapłańskich tkwi niewątpliwie w kryzysie współczesnej rodziny, hołdującej zasadom hedonistycznym i egoistycznym. Tylko rodziny, których życie oparte jest na zasadach moralnych, a w szczególności rodziny o licznych potomstwie zdolne są chętnie dawać swych synów na wyłączną służbę Bogu.

W pracy duszpasterskiej na Ziemiach Odzyskanych winni pomóc kapłanom katolicy świeccy. W pierwszym rzędzie kobiety polskie mogłyby odciążać proboszczów na odcinku katechetycznym w szkołach powszechnych. Systematyczne, gruntowne i masowe szkolenie katechetek jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Katechetki wyszkolone na poziomie co najmniej licealnym, powinnyby jednocześnie ująć w swe ręce całokształt pracy wychowawczej parafii wśród dzieci, dziewcząt i kobiet.

Mężczyźni winniby współpracować ze swymi parafianami na odcinku pomocy gospodarczej w odbudowie i utrzymaniu kościołów, w zorganizowaniu młodzieży męskiej oraz w katolickiej pracy intelektualnej.

Trzeba tu stwierdzić, że na ogół inteligencja katolicka nie jest przygotowana do czynnej współpracy z Kościołem, głównie ze względu na brak pogłębienia swej wiedzy reli-

gijnej. Nierzadkie są wypadki, że wykształcenie teologiczne nawet profesora uniwersytetu jest na poziomie szkoły powszechnej. Wydaje się wskazane uruchomić w poszczególnych diecezjach ośrodki kształcenia na poziomie wyższym w katolickich naukach wychowawczych i społecznych. Jeżeli chodzi o młodzież męską, to jej współpraca z parafią na terenie Ziemi Odzyskanych jest już częściowo zorganizowana.

Na terenie Dolnego Śląska rozwijają się pomyślnie Koła Ministrantów. Dzisiaj, gdy jesteśmy świadkami odrodzenia wśród katolików świeckich życia liturgicznego, oparcia pracy samokształceniowej chłopców i młodzieńców na czynnym uczestnictwie we mszy św. jest najlepszą szkołą współżycia z Kościołem i skuteczniejszą metodą obywatelskiego uspołecznienia.

Przeglądając przejrzyści i zwięzły regulamin Kół Ministrantów zwróciłem uwagę na obowiązek ministrantów propagowania dobrej książki i prasy katolickiej. Sformułowany w tym samym regulaminie, obowiązek przystępowania co miesiąc do komunii św. powinienby raczej być ujęty w ten sposób, że ministrant bierze czynny i pełny udział we mszy św. a więc co niedziela żywi się Chlebem Życia.

Analogicznej parafialnej organizacji dla dziewcząt dotąd nie stworzono. Można by powołać Kola Samarytanek, których zadaniem głównym byłaby praca charytatywna w parafii i przygotowanie dziewcząt do życia rodzinnego.

Poważnym problemem Kościoła na Ziemiach Odzyskanych jest odnowienie życia religijnego ludu. Dużą przeszkodą jest tu różnorodność obyczajów religijnych osiedleńców. Jest rzeczą charakterystyczną, że mieszkańcy tych ziem tęsknią za swymi dawnymi miejscami kultu religijnego.

Wyrazem tego są częste uroczystości poświęcania i umieszczenia w kościołach obrazów Matki Bożej Częstochowskiej czy Ostrobramskiej.

Do scementowania religijnego ludności Ziemi Odzyskanych przyczynićby się mogły pielgrzymki organizowane masowo i uroczyste do miejsc słynących cudami na Ziemiach Piastowskich.

Na Dolnym Śląsku np. znane są starodawne miejsca kultu odwiedzone tu przez Słowian, jeszcze w XIII wieku, a ostatnio przed wojną przez Polaków-autochtonów z Opolszczyzny. Wymienić tu trzeba klasztor z sarkofagiem św. Jadwigi, patronki Śląska, księżnej i matki Henryka Bożnego w Trzebnicy k. Wrocławia, dalej Wartę Śląską nad Nisą Kłodzką z cudowną figurą Matki Bożej, z kalwarią górską i z pięknymi kaplicami różancowymi oraz Jerolimną Śląską w Wambierzycach k. Kłodzka, gdzie mała figurka Marii z dzieciątkiem Jezus, trzymającym gołąbka pokoju, zasłynęła już od dawna cudami, gdzie tamtejszemu kościołowi zbudowanemu na wzór Świątyni Jerolimskiej Papież Pius XI w r. 1936 nadał tytuł bazyliki i gdzie na trzech wzgórzach znajduje się kalwaria licząca 92 kaplice, która jest uważana za jedną z najpiękniejszych kalwaryj w Europie środkowej.

Jak kształtuje się na Ziemiach Odzyskanych, w terenie, w parafii — tej najmniejszej komórce Kościoła, stosunek pracy Kościoła do czynników świeckich?

Wiadomo powszechnie, że Kościół jest instytucją apolityczną. Jednocześnie jednak właśnie Kościół bierze

czynny udział w budowaniu fundamentów wszelkiej pracy państwowej. Kościół przede wszystkim kształtuje moralność obywateli i moralność stosunków publicznych.

Wydaje się, że na terenie Ziemi Odzyskanych obóz materialistyczny pracuje nad urobieniem społeczeństwa w duchu swoich zasad ze szczególnym natężeniem.

Ułatwia mu w tym znacznie większa aniżeli w centrum Polski możność materialnej zachęty dla ludzi deklarujących się czynnie po stronie lewicy.

Chcąc scharakteryzować stosunek Kościoła do czynników świeckich na terenie Ziemi Zachodnich można by go określić jednym słowem: walka. Walka światopoglądów spirytualistycznego ze światopoglądem marksistowskim.

Kościół jednak nigdy nie uitożsamia partii politycznych, czy nawet całego reżimu z państwem. Kościół z samej swej natury będzie zawsze czynnikiem anty - anarchistycznym. Dlatego stosunek Kościoła do pracy państwowej na Ziemiach Odzyskanych można określić również jednym słowem: współpraca. A więc — współpraca i walka. Ewangeliczne — pokój i miecz.

Proces budowania polskości na Ziemiach Odzyskanych można by przyrównać w pewnym sensie do historycznego przekształcania się pierwotnej, dzikiej i amorficznej puszczy słowiańskiej w Chrześcijańskie Państwo Narodu Polskiego czasów Mieszka i Bolesława. I jak wówczas niebylewale szybkie krzepnięcie z pracą państwową, tak i teraz na Ziemiach Odzyskanych ze szczególną wyrazistością są widoczne silne powiązania w codziennej pracy administracji państwowej z administracją kościelną.

Kościół oddaje ogromne, nie dające się zresztą wymierzyć, usługi pracy świeckiej a to w szczególności w tych momentach, gdy autorytet organizacji świeckiej jest niewystarczający. Oddziaływanie Kościoła przełamuje opory psychiczne obywateli, lecz wszelkie społeczne schorzenia. Do czynników utrudniających pracę państwa na Ziemiach Odzyskanych zaliczyć przede wszystkim należy: ogólne rozprężenie obyczajowe, atmosferę tymczasowości, paraliżującą planowanie na dłuższą metę, separatywny dzielnicowy wśród osiedleńców oraz brak autorytetów społecznych, powodujący zanik dyscypliny i entuzjazmu.

Przytoczę tu dwa autentyczne przykłady świadczące o samorządnej współpracy państwa z Kościołem na terenie Ziemi Odzyskanych. W jednym z powiatów na Dolnym Śląsku duża grupa osadników spod Lwowa mimo wielokrotnych nakazów starosty nie chciała zabrać się do siewów, wprawiając w siebie, że niedługo na ziemiach tych pozostanie.

Starosta zwrócił się wówczas do miejscowego proboszcza z prośbą o wpłynięcie swym autorytetem na rolników. Ksiądz rzeczywiście zaczął mówić z ambony do parafian o obowiązku pracy, o konieczności przełamania zarazy tymczasowości i wezwął wszystkich do siewów i do orki. Skutek był łatwy do przewidzenia. Przystąpiono niezwłocznie do roboty.

W innym znów mieście dolnośląskim władze miejskie nie mogły się uporać z oczyszczeniem ulic ze śmieci i gruzu. Stan taki trwał aż do tej pory, gdy miejscowy proboszcz zaproponował władzom generalną czystkę miasta z okazji zbliżenia się dnia procesji Bożego Ciała przez te

ulice. Propozycja księdza została przez władze miejskie przyjęta. Na wezwanie z ambony stawili się do honorowej pracy wszystkie będące w mieście konne furmanki. W ciągu jednego dnia wykonano pracę, do której nie można było ludzi nakłonić w ciągu dwu lat.

Tyle o współpracy. A jeśli chodzi o walkę, to trzeba tu podkreślić, że toczy się ona przede wszystkim na odcinku szkoły. Niektóre czynniki na Ziemiach Odzyskanych próbują atakować kler katolicki.

Z tym wszystkim bywają wypadki, że czynni „peperowcy” biorą udział w delegacjach do biskupa z prośbą o przysłanie księdza dla obsadzenia pustego kościoła. Na tego rocznych uroczystych procesjach Bożego Ciała można było nieraz widzieć w poszczególnych miastach i miasteczkach Ziemi Odzyskanych wśród prowadzących celebransów działaczy partyjnych wrzuszonych aż do lez.

Inteligencja na Ziemiach Odzyskanych — i o niej na zakończenie tu powiem — jest obok odcinka szkoły przedmiotem najsilniejszej ofensywy ze strony obozu marksistowskiego. Inteligencja ta zbyt łatwo poszła na współpracę z partiami politycznymi.

Nie istnieją, niestety, dotąd dla inteligencji katolickiej Ziemi Odzyskanych odpowiednie formy organizacyjne, w których mogłaby się odbywać legalna, konstruktywna, a zarazem pożyteczna państwowa praca najaktywniejszych katolików. Nie mówię tu o reaktywowaniu przedwojennej Akcji Katolickiej. Zbyt wiele krytycznych uwag o niej wypowiedziano. W każdym razie, jeśli katolicyzm polski ma się oprzeć nie tylko na wierze ludu, ale i na myśli oraz świadomym czynie katolickim, winien niezwłocznie przystąpić do umożliwienia współpracy z Kościołem polskiej inteligencji.

Inteligencja katolicka winna mieć z jednej strony odrębne od szerokich mas ludu formy organizacyjne, z drugiej zaś strony jednak nie może tworzyć jakiegoś „ghetta”, nie może się odseparowywać od bieżących potrzeb ogółu katolików. Specyficzną cechą katolickiej pracy inteligencji jest praca intelektualna, budująca zręby kultury katolickiej. Rozproszona po miastach, miasteczkach, a nawet wsiach polską inteligencja tylko wówczas będzie mogła brać udział w owocnej pracy katolickiej, jeśli formy organizacyjne tej pracy będą dostatecznie silnie scentralizowane.

Działające samodzielnie w poszczególnych miejscowościach koła inteligencji katolickiej nie potrafiłyby rozwinąć na należytych poziomach pracy intelektualnej i zwiększyłyby tylko inflację spraw formalno-organizacyjnych. Musi się zmienić styl życia polskiej inteligencji. Polska inteligencja zaś powinna brać czynny udział w tworzeniu chrześcijańskiej kultury jutra. Nie chodzi o nową organizację katolicką na marginesie życia. Chodzi o organizowanie samego życia. Działający już we Wrocławiu Instytut Katolicki wysunął jako naczelne hasło w swej pracy Piusowe — „Instensiere omnia in Christo”.

Leon Brodowski

Czytając

„SŁOWO Powszechne”

W kraju...

TARGI GDANSKIE

Początkowo projektowano, urządzenie Targów na wyspie Holmcbok Gdańska. Myśl ta upadła z powodu zbyt dużych trudności technicznych i finansowych. Od 2-go do 10 sierpnia będą trwały Targi w Gdyni, w Sopocie natomiast od 2-go do 31 sierpnia. Targi mają charakter międzynarodowy. Cudzoziemcy korzystają z bezpłatnych wiz i zniżek na statkach „Galun”. Nazwanie Targów „Gdańskimi” nie jest przypadkowe. Urasta do miary symbolu. Bezpośrednią przyczyną wybuchu ostatniej wojny był Gdańsk. Argumenty historyczne nie są argumentami znaczącymi w polityce. Urządzenie na odzyskanym Wybrzeżu własnie Targów i obdarzenie ich mianem „Gdańskich” jest mądrym i celowym pociągnięciem propagandowym. W Gdyni są wystawione eksponaty rybackie, żeglarskie i przemysłu spożywczego. Centrala Rybna oraz przedsiębiorstwa eksportu, importu i przetwórcze, również wystawiły swoje wytwory. W 3-cim roku po wypędzeniu Niemców, możemy pokazać kupcom z zagranicy chłodnie, urządzenia bekoniarńi, eksportu jaj i produkcji konserw. Zjednoczenie Stoczni Polskich poszczyci się przed zwiedzającymi — rybackimi kutrami, łodziami, przyrządami sygnalizacyjnymi, wreszcie sieciami i klejami wodoszczelnymi. To są fakty. Jeszcze skromne ale wiele mówiące. Jeśli w dodatku Targi Gdańskie okazały się rzeczywiście targami nie zaś wystawą tylko, jak to ostatnio miało miejsce w Poznaniu, zamierzony efekt będzie osiągnięty całkowicie.

DLACZEGO NIE WRACAJĄ ?

Bezpośrednio po kapitulacji Niemiec blisko 100-tysięczna rzesza Polaków z Westfalii i Nadrenii wyraziła chęć powrotu do kraju. Delegacja ich bawiła w Warszawie i zyskała pełną aprobatę czynników rządowych oraz przyrzeczenie poparcia naszej emigracji zarobkowej w Niemczech w jej zamierze powrotu do odbudowującej się Polski. W dniu 6-ym sierpnia b. r. Generalny Pełnomocnik Rządu dla Spraw Repatriacji, Wiceminister Wolski przedstawił na konferencji prasowej trudności związane z tą sprawą. Komunikat PAP'u cytuje słowa Min. Wolskiego, że „dlugotrwałe rokowania na ten temat, prowadzone między władzami polskimi i brytyjskimi nie dały dotąd pozytywnych rezultatów”.

— Mamy prawo ufać, że trudności o jakich mówi Min. Wolski nie wynikły wskutek braku energii naszego Rządu. Prostu angielskie władze okupacyjne w Zachodnich Niemczech nie chcą się pozbywać dobrego i taniego robotnika, polskiego, którego brak, znacznie powiększyłby i tak już duże kłopoty, jakie ma W. Brytania z Zagłębim Ruhry. Oczywiście taka argumentacja nie może nam trafić do przekonania. Sprawa ma aspekt poważny i łączy się nierozdzielnie z szerszym zagadnieniem powrotu milionowych rzesz naszych Rodaków z Zagranicy. Ich obecność w Polsce jest nieodzowna i o zrozumieniu ważności tej sprawy przez Rząd świadczy chociażby zimowa wizyta Premiera Cyrankiewicza w Moskwie i przyrzeczenie przezeń uzyskane od Rządu Z.S.R.R., w którym ten ostatni zobowiązał się do udzielenia czynnej pomocy w repatriacji obywateli polskich z Rosji. Podobne zobowiązanie chcielibyśmy usłyszeć z ust przedstawiciela Rządu sprzymierzonej z nami Wielkiej Brytanii.

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE
OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O.O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego”.

Longin Szaffarski

POCHODZENIE MARKSIZMU

We wszystkich religiach świata, mówi się o przeciwieństwach, walczących ze sobą w człowieku. Motyw ciemności i światła — Boga i szatana — uzmysławia nam tragiczne rozdwojenie bytu, skażonego przez grzech pierworodny.

Heglowska filozofia idealistyczna, dostrzegła w prawie sprzeczności, zasadę, rządzącą rozwojem ducha absolutnego na ziemi.

Marks, przejął ów dualistyczny schemat i wyraził go w języku konfliktów społeczno-gospodarczych. O tem że w życiu zmagają się przeciwieństwa, wiedzieli oddawna wszyscy (nawet klasowo nieświadomie).

Komunizm, odziedziczył się od ścisłych związków z tradycją niemieckiej filozofii idealistycznej, zawdzięcza jej w istocie, metafizyczny sposób pojmowania dziejów. Hegel, nie był wcale taki abstrakcyjny, jak sądził dziś jego uczniowie. On pierwszy uczynił z interpretacji procesu historycznego główne zadanie epoki. Od chwili gdy wielki kapitał zastąpił wielu ludziom wyobrażenie szatana — robotnik walczący z burżujem nabrał cech prawie anielskich. Ślady dualizmu religijnego widoczne są nawet w koncepcji walki klas. Socjologię przejmuje duch dobra i zła, a motywy wybranej warstwy społecznej przypomina nam Stary Testament.

Czyli — że nic nowego pod słońcem? O — nie! Bądźmy ostrożni w rozszerzaniu analogii naszych. Różnice są bardzo istotne. Oto pierwsza z nich: Jak wiadomo, religia nie dopuszcza myśli o zharmonizowaniu szatańskich i boskich sprzeczności w obrębie nadrzędnej syntezy. Hegel w tym zespoleniu właśnie upatruje warunek rozwoju. Skażenie nastąpiło z chwilą, gdy myśliciele 19 wieku uznali, że antynomie nie podlegają działaniu praw moralnych, albowiem w zderzeniu ich — przejawia się wyższa i ponadludzka konieczność.

Z tego punktu widzenia patrzy Marks na epokę wczesnego kapitalizmu, który staje się zły, dopiero w swej formie schyłkowej i całkowicie dojrzalej do zlikwidowania przez nowe siły społeczne.

Narodziny relatywizmu socjologicznego związane są z momentem uznania dwóch podstawowych założeń: 1) Każda epoka wyłania z siebie prawdę odpowiadającą jej aktualnym potrzebom i możliwościom poznawczym. 2) To, co uchodzi za prawdę, jest po prostu wyrazem interesów klasy panującej.

Sens nadużycia jest jasny. Oto dialektyka, wyrażająca w istocie dualizm bytu duchowo-materialnego, podporządkowana została wshaniom koniunktury społeczno-gospodarczych. Zupełnie tak jak gdyby dopiero ekonomia uwarunkowała sprzeczność założoną u źródeł istnienia.

Antynomia chrześcijańska inną posiada naturę. Tu wchodzi w grę Odkupienie i miłość, zawsze gotowa przebaczyć. Kto przgrzesza — nie walczy, lecz unicestwia skazę istniejącą na duszy zbrodniarza lub wroga. W żadnym razie nie dąży do tego, by zniszczyć podobną sobie istotę. Synteza oznacza tu: pojednanie w Chrystusie, nigdy związek sprzecznych elementów.

Materializm dziejowy znieprawiał dialektykę pozostającą na usługach myśli religijnej. Pozbawiając ją elementu miłości, uczynił nienawisć i walkę demonicznym żywiołem egzystencji ludzkiej. Na przekór temu, wszystko co jest wartościowe, dąży do harmonijnej wspólnoty

prawdziwego braterstwa. Pytanie, czy walka przeciwieństw może kiedykolwiek ustać, interesuje nas bardziej w dzisiejszym momencie.

Z punktu widzenia marksizmu, jest rzeczą zupełnie wykluczoną, żeby prawo mówiące o stałym działaniu socjalnych i gospodarczych sprzeczności mogło być kiedykolwiek posłane na emeryturę, lub zawieszona w czynnościach.

Jeśli jest rzeczywiście niezłomne, musi działać dalej, nawet wówczas, gdy jego dotychczasowi wyznawcy zwrócą się przeciwko niemu, zagrożeni przez widmo nowej antytezy, gotowe obalić ich samych.

Ze stanowiska socjologicznego niepodobna twierdzić, by w społeczeństwie pozbawionym obszarników i kapitalistów, nowe klasy społeczne się nie wyłaniały.

W obecnej fazie rozwoju konflikt między kapitalizmem prywatnym a kapitalizmem państwowym dowiodł, że przeciwieństwa związane w nowej syntezie, bardzo często okazują się podobieństwami. Działa tu prawo o antynomii, potęgujących swe błędy w tragicznym starciu wzajemnym.

Jedynie miłość wyzwala nas z kręgu przeciwieństw pozerających się w bezpłodnym starciu, upodabniającym walczących do siebie.

Analogii mamy coraz więcej. Ostatnie rewolucje nie obaliły wcale teorii o krążeniu elit, wyłaniających się dziś z taką samą regularnością, jak w czasach niezbyt odległych. Pytanie, czy lud Kiedykolwiek rządził i decydował w historii, nigdy jeszcze nie było bardziej aktualne. Żyjemy w okresie rewidowania panujących doktryn i wszystko wskazuje na to, że marksizm znalazł się TERAZ na cenzurowanym.

Wątpliwości powstały już dawno. A Marks sam przyczynił się do ich powstania. Wystarczy przypomnieć jego fałszywą diagnozę, dotyczącą przebiegu rewolucji społecznej. To on przecież postawił tezę o koncentracji przedsiębiorstw, które znajdują się w rękach niewielu i wywłaszczone zostaną przez proletariata mający do czynienia z garstką posiadaczy.

Wiadomo, że powstanie olbrzymich spółek akcyjnych nadało tym procesom zgoła odmienny charakter. Wyszło na jaw, że upaństwowienie własności w krajach wysoko uprzemysłowionych, oczywiście nie u nas, niejednokrotnie godzi w interesy setek tysięcy drobnych udziałowców, a także robotników posiadających akcie fabryk, gdzie z pożytkiem dla siebie pracują. Ten naturalny bieg rzeczy akcentuje właśnie katolicka doktryna społeczna, wysuwająca postulat całkowitego uwłaszczenia mas.

Idąc dalej wypada tu zauważyć, że pojęcie klasy społecznej nigdy właściwie nie odpowiadało klasycznym wyobrażeniom miejskich doktryne-

row. Kto osobiście doświadczył jak wielkie antagonizmy dzielą robotników wykwalifikowanych od niewykwalifikowanych — kto obserwował charakterystyczny dystans istniejący choćby w życiu towarzyskim między majstrami a służbowo podległym im elementem — ten wie co myśleć o tego rodzaju schematach.

Należy ciągle pamiętać, że prawo walczących przeciwieństw dotyczy również zjawisk, które jego wyznawcy pragnęliby jednak uchronić od wewnętrznego rozdarcia. Czym wobec tego jest marksizm, pozbawiony racji w wielu momentach istotnych? Dostrzegamy w nim determinizm ekonomiczny, opierający się na przekonaniu, że świadomość ludzka określona jest przez całością kształt przemian, zachodzących w sposobie produkcji i podziale dóbr.

Z tego wynika, że wszystko to, co człowiek uczynił swym dziełem, decyduje o ukształtowaniu jego struktury duchowej. Mamy tu do czynienia z paradoksalnym odwróceniem przyrodzonej kolejności rzeczy. Człowiek popada w niewolę warunków, zawziętych mu swoje istnienie. Teza ta pozostaje w sprzeczności z humanistycznym poglądem na świat. Wyraża ona pogląd jakoby materia ujarzmiona przez nas, przeobrażała swych władców, zakładając w ich umyśle prawa, wedle których pragnie być przeistaczana.

Sprzeczność, tkwiąca w naturze marksizmu, ukazuje nam splót zależności tajemniczo z sobą sprzężonych. Na tym jednak nie kończą się zasadnicze obiekty, wykluczające możliwość przyjęcia tego stanowiska.

Coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę, że w dobie obalenia determinizmu fizykalnego, determinizm ekonomiczny musi okazać się anachronizmem. Prawdę mówiąc, do dziś dnia nie wiemy, w jaki sposób wpływa na nas zmiana zachodząca w toku czynności wytwórczych. Te zjawiska nie zostały całkowicie zbadane. Trudno na przykład powiedzieć, że rozstrój aparatu produkcyjnego, istniejący w roku 1945, tuż po wyzwoleniu, znalazł swój odpowiednik w dekompozycji psychicznej społeczeństwa, w jego wewnętrznym rozbięciu. Nie tyle stan maszyn co stan namietności zdawał się tu decydować. Praktycznie rzecz biorąc, o postawie marksisty decyduje jego wola walki — chęć zmierzania się z wrogiem klasowym.

Dopiero obecnie będziemy mogli naukowo stwierdzić, jak wpłynęła nacjonalizacja fabryk na rozwój kultury i moralności publicznej. Dotychczasowe próby interpretowania zjawisk duchowych przy pomocy czynników natury gospodarczej, niczego nam nie wyjaśniają. Fakt, że cała filozofia i literatura grecka uchodzi w oczach zwolenników tej metody za wytwór epoki niewolnictwa, nie tłumaczy wcale różnorodności ówczesnych sy-

stemów, reprezentujących prawie wszystkie odmiany znanych dzisiaj poglądów na świat. Cała ta mądrość sprowadza się w ostatecznym efekcie do dość banalnego stwierdzenia, że tam gdzie organizacja pracy fizycznej pozostawia pewnym warstwom dosyć czasu na twórcze rozmyślanie — nauka i sztuka znajduje właściwe warunki rozwoju. Na to nie trzeba marksizmu. Te rzeczy świat wiedział od wieków. Gdyby ekonomia mogła wyjawiać nam konieczność powstania Antygony czy Orestei, na tle ówczesnego układu sił klasowych, wielu spośród nas nawróciłoby się zapewne na materializm dziejowy. Jednakże sami marksisci czują się zakłopotani kiedy prosimy ich o udzielenie wyjaśnień dotyczących na przykład socjologicznej genezy panujących wyznań. Niedawno jeden z publicystów zapytał Sandauera w „Życiu literackim” czy słuszne jest twierdzenie Nitzscheego, jakoby chrześcijaństwo było religią niewolników oraz ludzi słabych i upośledzonych społecznie w obrębie rzymskiego imperium? Jeżeli tak, to w jaki sposób te same zasady uznane zostały osiemset lat później za narzędzie kapitalistycznej przemocy klasowej? Czy jedna i ta sama prawda może sprzyjać różnym interesom, zależnie od tego, kto ją w danym okresie propaguje albo za swoją uważa? Jeśli by tak właśnie było, musielibyśmy uznać, że nie normy ulegają zmianie, lecz socjologiczne formacje, nadużywające ich absolutnej powagi dla swych koniunkturalnych celów!

Dalej: Dlaczego wskazania moralne, obowiązujące wyznawców Buddy, Chrystusa czy Konfucjusza, są w wielu wypadkach po prostu identyczne, mimo, że każdy spośród wymienionych systemów powstał w innym czasie i w innej przestrzeni, w innych warunkach społecznych i geopolitycznych? Czy mamy prawo uznać, nie narażając się na oczywistą śmieszność, że wszyscy twórcy religii wyżej wymienionych byli narzędziami możnowładców i grup panujących, które poczynania ich finansowały, aby zwiększyć stopień uległości warstw wyzyskiwanych?

Albo: Czym interesom klasowym wysługiwał się Mojżesz, ogłaszając ludowi żydowskiemu Dekalog objawiony mu na górze Synaj?

W obliczu takich konkretnych zagadnień, cała teoria o bazie i nadbudowie wykazuje swą dialektyczną bezsilność, biegły w piśmie milczą i nawet Sandauer woli nie podejmować kłopotliwego w istocie tematu.

Mówi się ciągle, że marksizm jest materializmem, chociaż samo pojęcie materii zostało zakwestionowane przez fizykę współczesną. Materia to znaczy dziś tyle, co stan skupienia energii elektromagnetycznej. Kto mówi, że wszechświat składa się z drgających niewidzialnych fal, obala nasz prymitywny empiryzm, dowodzi, że coraz bliżej ocieramy się o metafizykę.

Przechodząc do kwestii praktycznych stwierdzamy, że wizja przyszłego ustroju nie wynika z marksizmu w sposób jednoznaczny. Jedno jest tylko pewne: autor „Kapitału” głosił uspołecznienie a nie upaństwowienie środków wytwarzania. Uważał on, że funkcje państwa powinny stopniowo zanikać na rzecz samorządu, będącego warunkiem prawdziwej demokracji. Koncepcja molocha biurokratycznego była twórcy socjalizmu zasadniczo obca.

KSIĘGARNIA ŚW. JACKA

Katowice, ul. 3-go Maja 18

Oddziały: Bytom — Gliwice — Opole — Zabrze

poleca swoje nowości wydawnicze:

| | | | | |
|---------------|---|--|---------|----------|
| J. Baranowicz | — | Madejowa Klechda | str. 60 | zł 120.— |
| Z. Bednorz | — | Strofy serdeczne | „ 24 | „ 60.— |
| Berghoff | — | Ostatni etap | „ 160 | „ 300.— |
| W. Gumia | — | Cudowny świat przygód | „ 196 | „ 300.— |
| Z. Kossak | — | Beatum Scelus | „ 128 | „ 220.— |
| W. Majdański | — | Giganci | „ 232 | „ 380.— |
| G. Morcinek | — | Listy z megoje Rzumu | „ 152 | „ 240.— |
| Ks. Dr Wilk | — | Św. Benedykt, Patriarcha Zachodu — z uwzględnieniem wielkiej roli św. Wojciecha w Polsce | „ 35 | „ 70.— |

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Hieronim Pawlicki

NIETZSCHE I TOMASZ MANN

Z artykułu Aleksandra Wata „Bitwa pod Zurychem” („Odrodzenie” nr. 27/136) dowiadujemy się, że na XIX Kongresie PEN Clubu w Zurychu Tomasz Mann „mówił o Nietzsche”.

Nietzsche i hitlerizm. To wiadomo. Ale Nietzsche — hitlerizm i Tomasz Mann, to mistyfikacja. A jednak Zurychska mowa Tomasza Manna zwiastuje renesans Nietzschego w Niemczech. Wyszedł T. Mann z laską Diogenesa, aby szukać człowieka niemieckiego. Na skrzyżowaniu dróg dziejowych nie spotkał Goethego, Nietzsche przemówił i Tomasz Mann nie zląkł się głosu — obłąkanego na ruinach Europy Zarathustry. Ktoś tu zaprzecza rzeczywiście idei moralnej w porządku świata. Ktoś gwałtownie wraca w wielkie sprawy europejskie.

„Oczywiście — pisze Wat — (Mann) potępił jego (Nietzschego) filozofię, która była ukoronowaniem i zaprzeczeniem idei panestetyzmu, gdy nam trzeba filozofii ethosu! Ale z uporem odgradzał Nietzschego od jego zbrodniczych naśladowców, usiłował go wydedukować z fidesieklizmu mieszczaństwa, równał go z Oscarem Wildem... znajdował mnóstwo usprawiedliwień dla chorego geniuszu niemieckiego narodu — tego chorego narodu okrutnych i sentymentalnych mrówek! Fryderycjański „Weltburger”, który w 1917 r. głosił pokój niemiecki, wieczne panowanie niemieckiego nadnarodu nad światem, ze wstętem przepędziwszy pospolitych mordców i podpalaczy, nie chce wypuścić z niemieckiej Walhalli ich tragicznego patrona” (podkreślenia moje).

„Następnego dnia — informuje nas Wat — Tomasz Mann żądał dla dobrych Niemców zaufania”. (podkreślenia moje).

Oto łamigłówka psychologiczna i historyczna. Tomasz Mann w obrocie Nietzsche! A więc Mann nie chce wypuścić z niemieckiej Walhalli filozofa i patrona hitlerizmu — na sąd historii. Tylko na podłożu czasów silnie pobudzonych do paradoksalnych salto mortale można wytłumaczyć już nie potknięcie, ale załamanie się wielkiego pisarza niemieckiego. Jego mowa w Zurychu brzmiała jak hasło: Z powrotem do Nietzsche!

Odnosi się wrażenie, że Tomasz Mann zmęczył się czuwaniem nad odrodzeniem narodu niemieckiego, jakby przyszedł do przekonania, że wpływ nietzscheizmu na hitlerizm może być wprawdzie przyćmiony, lecz nie może być usunięty na zawsze. I słusznie.

Nie ma antynomii między Nietzsche a hitleryzmem. Nie było jej wczoraj i nie ma jej dzisiaj. Barbarus teutonicus (nadczołowiek) musi trwać na posterunku. Geniusz niemiecki jest nieodmienny. Każda odmiana byłaby zaprzeczeniem jego niemieckości. Nietzsche był Niemcem. Kto może być więcej. Trzeba nareszcie powiedzieć całą prawdę. Skrzyżowanie rasy germańskiej ze słowiańską (Nietzsche z pochodzenia był Polakiem) wydaje posepny cień nadczołowieka niemieckiego. „Deutschland über alles in der Welt” — tak rzecze Zarathustra — Nietzsche. Słowa te powtórzył za nim w Zurychu Tomasz Mann. Nie dosłownie, broń Boże. Ale z przekonaniem, ogarniającym po niemiecku pewne procesy dziejowe.

Myśli Manna tworzą zwarte szeregi. Kolumna za kolumną. Nietzsche — mówi Mann — to perspektywa w pracy nowych dziejów Niemiec. Nietzsche — to prawo ruchu, to posuwanie się naprzód przez po-

konywane przeciwieństw. To mesjanizm poza dobrem i złem. W tym prądzie myśli niemieckiej każde „tak” może wytwarzać tylko — „tak” a nigdy „nie”. Nietzsche to nie antyteza, to synteza hitlerizmu syntezą rozjaśniającą wczorajsze i jutrzejsze mroki zasłaniające przed narodem niemieckim drogi jego odrodzenia kulturalnego i politycznego. Nietzsche, to gwałtowny poryw niemieckiej myśli twórczej na Euroję spragnioną stabilizacji stosunków międzynarodowych.

Niemcom nie brakło nigdy przewidyjących ideologów. To nic, że Nietzsche pogłębiał mroki filozofii niemieckiej. Działo się to z myślą o wyzwoleniu nadczołowieka przeciw człowiekowi. Więc i Tomasz Mann uwierzył Hegłowi na słowo: „Kto wypowiada, uświadamia i wykonuje, czego pragną jego czasy, ten jest wielkim mężem swej epoki.” Zdaniem Tomasza Manna tym mężem dla Niemców był i pozostał Nietzsche. Więcej Nietzschego! Hegel nauczał jeszcze: „Możemy być przekonani, że prawda posiada zdolność wydobycia się, kiedy nadszedł jej czas i zjawia się tylko wówczas, kiedy ten czas nadszedł i dlatego nie zjawia się nigdy wcześniej, ani nie spotyka publiczności nieprzygotowanej”. A więc już nadszedł czas.

W przełomowej chwili swego narodu Tomasz Mann znalazł rozwiązanie problemu niemieckiego. Rozwiązał go jednak w sposób niezgodny z największymi interesami kultury europejskiej. Podjął się gloryfikacji nietzscheizmu, kultu nadczołowieka i niemieckiej samoistności duchowej w hitleryzmie, z ducha i myśli Nietzschego. T. Mann ufał Nietzschemu; na Kongresie PEN Clubu znaleźli się tacy, którzy zaufali i Nietzschemu i Tomaszowi

Mannowi, jako obrońcy Nietzschego. Mann wlał w dziejowe formy filozofii nadczołowieka nową treść, podał sposób przewyciężenia... hitleryzmu. Ufajcie Nietzsche — zaufajcie narodowi niemieckiemu. Tertium non datur.

Tomasz Mann nie wierzy, że geniusz narodu niemieckiego jest chory. Filozofia niemiecka była pełna krzysów. Były zmierzchy bogów, ale naród niemiecki przewyciężył wszystkie urazy. Jest to zagadnienie polotu spekulacji filozoficznej. Fryderyk Wielki napisał Anti-Machiavela, ale sam był Machiavelem. Nie egzystencjalizm francuski (mimo ojcostwa Schopenhauera), Nietzsche — „Die fröhliche Wissenschaft”, oto manifestująca się wola mocy narodu niemieckiego na ruinach Europy. Z powrotem do Nietzschego! Nietzsche stanowi dla Tomasza Manna przejście pomiędzy hitleryzmem a określonymi formami odrodzenia duchowego Niemców z nietzscheańskiego mitu o nadczołowieku, o narodzie, który znowu czeka na swój wielki dzień w historii Europy.

Tomasz Mann nie byłby Niemcem, gdyby zrezygnował z Nietzschego jako indywidualności wymancypowanej z wszystkich kompleksów niższości, indywidualności fascynującej i wstrząsającej, pobudzającej i zapładniającej ducha niemieckiego od zwycięstwa do klęski, od klęski do zwycięstwa, nawet gdy by temu zwycięstwu wypadło być cieniem fatalizmu. To też bez Nietzschego nie podobna już sobie wyobrazić nowych Niemiec. Nietzsche stanowi niezbędne ogniwo w łańcuchu historycznego rozwoju narodu niemieckiego, w dziejach własnych i w dziejach Europy. Nietzsche nie stoi na pograniczu dwóch epok. To

przekonanie utwierdziło Tomasza Manna w słusznym domniemaniu: międzyepokowa ciągłość mitu o nadczołowieku jest koniecznością dziejową Niemiec. Można się z tym poglądem nie zgadzać, ale nie można mu odmówić sensu historycznego. Nietzsche jest sygnałem prądów kulturalnych, nurtujących intelektualizm niemiecki w cieniu hitleryzmu.

Najgwałtowniejsze przewroty dokonują się w Niemczech w spokoju. Naród filozofów myśli logicznie. Tomasz Mann z pewnością długo się zastanawiał nad wyborem duchowego łącznika między odradzającymi się Niemcami a Zachodem. Wschód przewyciężył już problem Nietzschego. Wschód Europy leży poza sferą imponderabilii kultury i polityki niemieckiej. Tylko Zachód nie zatracił w sobie subtelnej wrażliwości intelektualnej na miły filozoficzny, narodowy i polityczny w wydaniu niemieckim.

Przodownictwo umysłowe Europy po przewartościowaniu wszystkich wartości — to problem, którego Zachód nie rozwiąże bez wysiłku geniuszu niemieckiego. Przeczące i burzące pierwiastki działają w myśli niemieckiej nieodmiennie. Wielki samotnik z Eugadynu znał ich otchłanie. Tomasz Mann nie miał wyboru: albo Nietzsche, albo... Kto drugi miałby zejść z wyżyn Walhalli, aby na Zachodzie zyskać dla siebie licząc i uznanie, a dla Niemców — zaufanie?

Niemcy nie lubią zapędzać się w negację. Na XIX Kongresie PEN Clubu Tomasz Mann przypomniał Zachodowi bohaterstwo filozofii Nietzschego. I nic więcej. Bezkrzytycznego podziwu dla jego wystąpienia nie stwierdzono. Z powrotem do Nietzschego.

Hieronim Pawlicki

Ks. Antoni Lorens

Na marginesie artykułu „Dwie książki Walentego Majdańskiego”

Do Spółki Majdański i Jakimiak i ja swój akces zgłaszam. Jeśli działanie w pojedynkę nigdy w niczym nie mogło się poszczycić większymi osiągnięciami, to tym bardziej do niczego nie doprowadzą wysiłki, choćby i najbardziej ideowych jednostek, w walce z tak bezczelnie panującą się dziś zbrodnią dzieciobójstwa. Dobrze powiada p. Jakimiak: „Majdański jest osamotniony, przemilczany. Będzie jeszcze i prześladowany, gdyż ośmielił się być prokiem, który wytyka zbrodniarzom zbrodnie, grzesznikom grzech. Może nawet mężczannikiem”. To ostatnie całkiem pewne... Słów: „Wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Jezusie Chrystusie, prześladowania cierpieć będą” — nie pisał Apostoł bezpodstawnie.

Alé nie o to mi chodzi. Mnie chodzi o wyjście z błędnego koła. Co jest przyczyną czego? Czy osłabienie ducha katolickiego w narodzie jest przyczyną omawianych zbrodni, — jak to twierdzi Majdański, a za nim Jakimiak, czy też raczej odwrotnie: zbrodnie te stały się przyczyną nagminnego dziś bezbożnictwa, lekceważenia wiary i nienawiści do Kościoła? Od rozstrzygnięcia tego dylematu wiele zależy. W szczególności zaś należy dobrać właściwych metod w walce o życie nienarodzonych. Unikniemy wtenczas takiego paradoksu, że o istnienie zbrodni, które napiętnował Kościół, wini

będziemy Urząd Nauczycielski Kościoła, t. j. Biskupów i zależna od nich duchowieństwo katolickie.

Ludzie odstąpiwszy od Boga doznają wyrzutów sumienia. By zaś mogli je przytłumić często, usiłują za wszelką cenę, choćby i za cenę prawdy, dopatrzeć się zła w piętnującym zbrodnie świata — katolickim duchowieństwie. Ale to też równocześnie dowodzi Boskości Kościoła i jego Urzędu Nauczycielskiego. I dobry w swej cności i zły w swych grzechach — na Kościół i jego duchowieństwo zwykli się zawsze powoływać.

Lecz wróćmy do naszego dylematu: Co jest przyczyną czego? Czy bezbożność zbrodni, czy zbrodnie bezbożności? Miejmy rozum i nie dy sputujmy z Jezusem Chrystusem, który tę kwestię już dawno rozstrzygnął, mówiąc: „Ludzie dlatego uniwolali ciemności, że złe były ich uczynki”. Właśnie, właśnie. Nic takiej nienawiści nie budzi do Kościoła i do występujących w jego imieniu kapłanów, jak piętnowanie przez nich rozpusty i zbrodni małżeńskich. Byłem już w kilkunastu parafiach, i tak długo miałem wszędzie względny spokój, dopóki przeświadczyłem tym grzechem nie wystąpiłem. Z tą chwilą frekwencja w kościele od razu malała, na nabożeństwa przychodziły jeno stare kobiety, trochę starszych mężczyzn i dzieci, a ogół, — zwłaszcza żonaci i

młodzież — stawała najwyżej koło kościoła, i unikała słuchania kazań jak „zarazy”, mówiąc: „Kto by tam księży słuchał... I dobrze jeszcze, gdy się tylko na tym staniu pod kościołem kończyło, bo bywało i tak, że w parafii powstawał bunt. Szły skargi do Biskupa o odstręczenie przez księdza ludzi od kościoła, bo ksiądz taki, owaki, żądano jego przeniesienia, groząc przejściem w przeciwnym razie do sekiarzysty, itd. Gdy zaś to wszystko nie pomagało, następowało nocami wybijanie szyb na plebanii, osobiste zniewagi, i wprost uniemożliwianie życia. Wieszcie dla świętego spokoju przerosi Władza niefortunnego obrońcę nienarodzonych — na inną placówkę, by swą drogą krzyżową od początku zaczynał...”

Jak już powiedziałem, każdy ma u nas do księży pretensje, a nikt im nie pomoże. Nic więc zbytnio dziwnego, że niejedną się ugnie i ograniczy swą działalność do spełniania funkcji liturgicznych, — a w kazaniach będzie unikał tematów, które by ludzi wystraszały z kościoła. Bo w Polsce uważają ludzi za isto tę religijności — samo tylko chodzenie w niedzielę i święta do kościoła, i manifestacyjne pielgrzymki do miejsc cudownych. Te pozory najszej polskiej religijności pono Kardynała Griffina w zachwyty wprawiły... Tam bowiem, w Anglii, gdy już ktoś jest katolikiem, to i do ko-

W świetle...

Organizacja Narodów Zjednoczonych od chwili jej utworzenia nie cieszy się, powiedzmy to szczerze, zbyt popularnością. Nie analizując przyczyn tego, słusznie czy niesłusznie, zakorzonego poglądu — musi stwierdzić, że został on ostatnio dość poważnie zachwiany. Oto Rada Bezpieczeństwa na wniosek przedstawiciela Australii rozpatrzyła sprawę Indonezji. Po niezbyt długiej lecz dość ostrej dyskusji, w ramach której scierali się przedstawiciele Holandii i Indonezji oraz państw popierających bądź jedną bądź drugą stronę — Rada wydała kategorię rozkaz obu przeciwnikom: przerwać działania wojenne. I ku zdumieniu sceptyków w ciągu kilkunastu godzin ustaly walki na Jawie i Sumatrze. Oczywiście trudno jest obecnie mówić już o całkowitym sukcesie ONZ w zażegnaniu konfliktu. Jeszcze długie tygodnie, a zapewne i miesiące będą trwały rozmaite konferencje, arbitraży i podróże międzynarodowych komisji na spornych terenach. W każdym jednak razie ONZ bezsprzecznie postąpiła znaczny krok naprzód ku umocnieniu swej pozycji.

Pozatem wydaje się, że zasięga wstrzymania przelewu krwi w Indonezji przypada w udziale nie tylko ONZ. Należy przypuszczać, że USA i Anglia zażądały od Holandii zastosowania się do decyzji Rady Bezpieczeństwa. Walki wolnościowe stanowią przeważnie zaraźliwy przykład. Anglosasi zaś a zwłaszcza Anglia, świadczą o tym liczne w ostatnim czasie wypowiedzi prasy brytyjskiej, dbają bardzo o prestiż „białego człowieka”.

Coprawda, stare wypróbowane metody rządzenia koloniami odnoszą skutek i obecnie Francja po blisko dwa lata trwających krwawych walkach — potrafiła zaprowadzić spokój w Indonezji. Tak to przynajmniej wygląda w świetle ostatnich komunikatów urzędowych. Vietnam niemal skapitulował, przeprowadzając rekonstrukcję rządu, na czele którego stanął b. cesarz Annamu o zdecydowanie profrancuskich sympatiach.

Wracając do sprawy Indonezji widzimy, że działalność ONZ wieńczy powodzenie, jeśli chodzi o terer Azji. W stosunku jednak do problemów europejskich Rada Bezpieczeństwa jest nadal bezsilna. Debata nad sytuacją grecką ciągnie się nieprzerwanie, nie przynosząc żadnych realnych konkluzji, a tymbar dziej radykalnych posunięć mających na celu zlikwidowanie wojny domowej w Grecji.

Kto wie, czy fakt ten nie jest dowodem, że na pomyślnym skutku arbitrażu w konflikcie indonezyjsko - holenderskim zaważyły poza autorytetem ONZ, jeszcze i inne czynniki o których pisaliśmy powyżej...

U W A G A !!!

OSTATNIA NOWOŚĆ

ukazało się II wydanie
K S I A Ż K I
W. Okońskiego
WIELKA TAJEMNICA

Książka - Rewelacja!
Cena: 250 zł. + koszty przesyłki
Książka, którą musi przeczytać
k a ż d y chłopiec i młodzieniec;
k a ż d y ojciec i wychowawca.

Z a m ó w i e n i a: Warszawa 12, skrytka pocztowa 40.
Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

K s i a g a r n i o m r a b a t

ścioła chodzi i życie prawdziwie katolickie prowadzi. A że katolików jest tam mało i niejako giną w morzu protestanckim, więc Kardynał, widząc tylu manifestantów w kościołach, w których się zjawiają, sądził w swej prostocie ducha, że są oni takimi samymi katolikami, jak i tamci w Anglii. I gratulował Polsce katolicyzmu...

Znieśmy przykazania Boskie, a zwłaszcza piąte, szóste i siódme, a Polska będzie mogła istotnie uchodzić za wzór katolicyzmu całego świata. Ponieważ jednak, jak dotąd, warunkiem katolicyzmu jest zachowywanie wszystkich przykazań, dlatego wyznajmy w skrytości serca, że te zachwyty świata nad naszą „religijnością“ są trochę przedwczesne... Zanim Polacy zaczną imponować światu swoim „katolicyzmem“, muszą pierwście przestać być Kainami, muszą przestać mordować rokrocznie setki tysięcy nie narodzonych dzieci.

Pamiętajmy zaś, że tych ludzi nie nawróci nikt ani kazaniem, ani arty-

kułami, ani najpiękniejszymi nawet książkami p. Majdańskiego. Kazania bowiem czy nauki to owa sól ewangeliczna. Ona tylko przed zepsuciem zabezpiecza. Im już żadna sól nie pomoże. Trupa tylko Bóg cudem może wskrzesić, a nie ksiądz czy publicysta kazaniem i pouczeniem.

Widzę tylko dwie możliwości: albo zaprowadzenie w Polsce prawa radzieckiego, które karze śmiercią dzieciobójców, albo wprowadzenie w czyn prawa kanonicznego, które zbrodniarzy tego rodzaju każe wykluczyć z Kościoła. Ja osobiście byłbym za pierwszym. Cóż z tego, że Kościół wyrzeknie się, jeśli w dalszym ciągu będą uprawiać swój haniebny proceder. Im przeciw na Kościele wcale nie zależy. Od zbrodni może ich powstrzymać tylko lęk przed śmiercią.

Ale może i równoczesne wprowadzenie w czyn prawa kanonicznego było by wskazane. Skończmy już raz bawienie się w ciu-ciu-babkę. Wstępujący do Kościoła wyrzekają się czarta i wszelkich jego spraw.

A któreż to dzieło diabelskie jest gorsze niż dzieciobójstwo? Nie w ilości, ale w jakości tkwi wartość rzeczy. Czytajmy Listy św. Pawła, a przekonamy się, że Apostoł ten wyrzucił bez skrępowań z założonych przez siebie gmin chrześcijańskich — wszelkich ateuszów, kazirodców i dzieciobójców.

Cierpliwość Kościoła jest tylko odbiciem cierpliwości Bożej, ale nadużywać jej nie można, bo są już oznaki zbliżającego się dies irae.

Wreszcie jeszcze jedna rzecz, Pan Jakimiak ma zbyt wyidealizowane pojęcie o „babach“ wiejskich. Powiada, że tylko one mu „pachną“, bo mają dużo dzieci, a „panie“ miejskie mu „śmierdzą“, bo raczej w psach niż w dzieciach się lubują. Proszę pana, dziś baba na wsi niczym nie różni się od paniusi miejskiej, a może nawet jest gorszą. Można powiedzieć, że wart pałac Paca, a Pac pałaca... Dziś i na wsi są same tylko „panie“. Wysoko i przejrzyście podkasane, noszą ondulowane kołtuny na karkach, a gdy

się której trafi brzemienność, wstąpi się tego i jest przedmiotem drwin w całej wsi. Rzadkie są na wsi teraz urodziny. Do najrzadszych czynności księdza na wsi należy obecnie — chrzest. Tak: trumien jest dość, ale K O Ł Y S E K brak

Nie wiemy jednak przesadnie, jak to czynią pp. Majdański i Jakimiak, samych tylko kobiet miejskich czy wiejskich. Winowajcami są nie tyle kobiety, ile mężczyźni; nie tyle matki, ile ojcowie. Kobieta zasadniczo jest bierną, i jeśli nie rodzi, to nie ze swojej — tylko z winy męża. Kobieta przecież z natury dąży do macierzyństwa. Potrzeba oczywiście lepiej niż dotąd wychowywać kobiety, ale przede wszystkim trzeba wychowywać i umoralniać mężczyzn, których, dotąd, ideałem jest rozpusta, łatwizna życiowa i użycie. Widać to już z ich stosunku do Kościoła. Kto wypełnia nasze Kościoły, kto uczestniczy w nabożeństwach? Kobiety. Mężczyźni albo wcale do Kościoła nie uczęszczają, albo najwyżej stoją pod kościołem,

pałac papierosy. Kogo widzimy przy konfesjonach? Kobiety. Kto przystępuje do Stołu Pańskiego? Kobiety. Mężczyznom Komunii Świętej nie trzeba.

Kobiety grzeszą, ale czując się niejako do grzechu zmuszone, religię w sercu zachowują. Mężczyznom za całą religijność wystarcza „święcone“ i ucztą wigilijna... Ale i tego „święconego“ możemy wnei nie mieć. Obawiam się, że się spełni na was przekleństwo Boże: „owocze ziemi twej i prace twoje niechaj je lud, którego nie znasz... Przychodź dzień, który mieszka z tobą, wzniesie się nad ciebie, i będzie wyższy, a ty zstąpisz i będziesz niższy... on będzie głową, a ty ogonem“ (Powt. Prawa, 28, 33 — 34). Brak jest katolików, mężczyzn, bo brak jest dobrej woli. Na złą zaś wolę nie poradzi ani ksiądz, ani biskup, ani zakonnik, ani p. Majdański.

Jeśli nie przyjdzie cud Odrodzenia, będzie z ludźmi źle. Nastąpi Katastrofa.

Ks. Antoni Lorent

Zygmunt Jakimiak

ŚPIEW LUDU

P. Dr. Józef Putek ogłosił w 1-szym numerze „Myśli chłopskiej“ ciekawy, udokumentowany artykuł o ludowym śpiewie kościelnym. Nie ze wszystkimi tezami artykułu można się zgodzić. Trudno np. przyjąć twierdzenie, że z 80 starodawnych pieśni z omawianego w artykule śpiewnika Capa 60 poszło w zapomnienie. Należało je raczej wymienić dla sprawdzenia.

Natomiast p. Dr. Putek ma zupełną rację, gdy twierdzi, że wielką szkodę śpiewom kościelnym przyniosły organy i organisci. Jest to nabytek względnie nowy — organy upowszechniły się na dobre dopiero w XIX w. Przedtem były niecodzienną rzadkością. Zamiast organisty urzędował w każdej parafii kantor (śpiewak), osoba niezmiernie szanowana, osiedlona na specjalnej fundacji.

Ten to śpiewak uczył specjalnie śpiewu i kierował nim w czasie nabożeństw, a z pewnością również komponował niekiedy własne pieśni, które potem starał się wprowadzić. Za inwestowanie organów, zastąpienie kantorów organistami, wprowadziło ogromne, a niepożądane zmiany. Organista, jeśli uczy śpiewu, to tylko chór, złożony z kilkunastu osób. Uczy nie pieśni ludowej, ale „wyszukianych“, wielogłosowych kompozycji, albo utworów solowych, które oczywiście wypadają nędznie, bo trudno, żeby organista powierzchownie k ztałcony, miał należyty smak, odpowiednią cierpliwość i wpływ na „wybrany“ zespół. Dobry chór kościelny, nawet w dużych miastach przy najlepszych dyrygentach należy do rzadkości. Ale nawet gdyby był dobry, to jest on sprzeczny z zasadą demokracji kościelnej. Chór czy solista śpiewa, a lud na dole musi milczeć. To jest wielka krzywda. Lud się nudzi w czasie nabożeństwa, a nuda jest pierwszym wrogiem życia religijnego.

W kościele dwa są główne czynniki: kapłan i lud, co w śpiewie wyraża się terminami: chór i solista. Lud ma prawo śpiewać. Prawda, czasem i teraz śpiewa, ale znacznie mniej niż trzeba. W dodatku nieuczony, niekształcony przez odpowiedniego przewodnika, śpiew ludu w kościele, a i poza nim, degeneruje się, wykształwia, manieruje, jak to możemy obserwować zwłaszcza w śpiewaniu przed sumą różańca. Dziwne, że mimo wszystko lud w masie jeszcze teraz w wielu miejscach śpiewa pięknie, mocno, żarliwie.

A więc winą organów i organistów jest oplakany stan śpiewu kościelnego. Ale nie wyłączną. P. Dr. Putek nie pisze o innej, ważniejszej przyczynie upadku śpiewu ludowego w kościele. To zresztą nie jest jego dziedziną. Otóż przyczyną jeszcze ważniejszą — pozałowania godnego śpiewu ludu — jest, że to, co się śpiewa w kościele nie jest śpiewem kościelnym. Jest tylko religijnym śpiewem ludu. W sprawie tej odzywał się ostatnio dwukrotnie autorytatywny głos Papieża. Zarówno Pius X jak Pius XI twierdzą, że kościelnym śpiewem ludu jest śpiew gregoriański.

Niejednemu wyda się to twierdzenie paradoksem. Jako, robotnik i chłop miałby śpiewać po łacinie stare hebrajskie, greckie, rzymskie melodie? Język niezrozumiały, melodie przestarzałe. Jedno i drugie martwe. Toteż trzeba było aż nieomyślnie powagi Papieża, żeby z całą stanowczością wygłosił takie nieoczekiwane twierdzenie. Roma locuta, causa finita. Nie można wątpić o słuszności tego orzeczenia, należy tylko starać się poznać całą doniosłość społeczną, religijną i artystyczną jego prawdziwości.

Za długo byłoby o tym pisać. Więc tylko w skrótach. Starość języka i melodii jest raczej zaletą, niż wadą. Msza św. jest też stara. To, co żyje lat kilka tysięcy zaleca się samo przez się, jako wartość wieczna. Niezrozumiałość języka też nie jest argumentem. Zrozumiałość jakiegoś zjawiska nie jest warunkiem jego przyjęcia. Dopiero w miarę używania rodzi się coraz szersze i głębsze zrozumienie.

W praktyce obserwować można, że chłop szanuje i ceni łacinę, a umiejętność jej używania nawet bez rozumienia podnosi w nim poczucie własnej wartości i godności. Ci, którzy nie umieją języka klasycznego cenią i szanują tego, który umie. Cóż łatwiejszego, jak przetłumaczyć kilka tych tekstów gregoriańskich śpiewów?

A teraz sama dawność melodii. Kościół Katolicki jest skarbcem, który przechowuje rzeczy stare i nowe. Przechował Homera, Arystotelesa, Platona, skarby ludzkiej poezji i myśli. Przechował też najdawniejszą muzykę. W śpiewie gregoriańskim mamy melodie hebrajskie, przeważnie religijny śpiew synagogi. Ale są tam i melodie dionizyjskie, melodie

rzymskich legionistów, a więc świeckie, oczywiście te, które mają wartość muzyczną. Dzięki temu wierni śpiewający chorał są zawsze w bezpośrednim kontakcie ze źródłami natężnienia. To ich chroni od wynaturzeń, dziwactw muzycznych, bo zawsze mają wzorzec do porównań. Trudno jest dość mocno podkreślić znaczenie tego faktu dla twórczości muzycznej w ogóle. Dziwactwo, obrzydliwość tzw. nowoczesnej muzyki, odbiegłej istotą i charakterem od chorału „całkowicie“, najlepiej nam wykazuje konieczność tego wzorca. Zresztą nie cały śpiew gregoriański jest tak stary. Oficjum Bożego Ciała, teksty i melodie są dziełem św. Tomasza z Akwinu, (wiek XIII). Oficjum za zmarłych również. Znacznie późniejsze nasze polskie Godzinki (XV w.), Gorzkie Żale (XVII w.), choć nie należą ściśle do chorału, to jednak zachowują jego charakter. Podobnie współcześnie powstające

melodie do litanii (np. do Serca Jezusowego). Objawy te, kto wie, może wskazują na to, że twórczość w dziedzinie muzyki jednogłosowej beztaktowej nie zamarla i w miarę jej uprawiania po kościołach może się rozwijać.

Byłaby to tym większa, choć połączona korzyść, że wpłynęłoby to w ogromnym stopniu na muzykę świecką. Jak wiadomo z chorału gregoriańskiego rozwinęła się polifonia, a następnie harmonia, tak, że cały kolosalny rozwój muzyki europejskiej zawiązywać należy chorałowi. Już wspominałem, że chorał byłby wzorcem, pionem do którego minowoli odnosiliby się twórcy muzyczni. Tu więc tylko podkreślę, że chorał gregoriański, jako śpiew uroczysty w służbie Bożej, śpiew rytualny, liturgiczny, sakralny, a więc o źródłach i celu nadprzyrodzonym, jest wiecznie żywy, samodzielny i oryginalny i przez to może zasilić muzykę

świecką, podobnie jak to miało miejsce w innych dziedzinach sztuki.

Tylko trzeba, żeby go śpiewał lud, tzn. wszyscy wierni, obecni na Mszy św., bez względu na to, czy są robotnicy, chłop, inteligencja, czy duchowieństwo. Nic to nie znaczy, że gdzieś tam w katedrze śpiewa chór alumnów, lub w jakimś zakonie chór zakonników. Lud jest potrzebny do pełnego życia Kościoła. Już czas skończyć z marnymi chórami i występami solistów. Jest rzeczą zadziwiająca, że do takiego stopnia zatraciliśmy poczucie taktu, delikatności i subtelności, iż nie rażą nas chóry i soliści w kościele. Jeśli np. w czasie wykładu profesora uczniowie grają „w szewca“, to nazwiemy ich nietaktownymi. A czyż inaczej wygłada chór, który w czasie Gloria śpiewa np. modlitwę z opery „Flis“ Moniuszki (zresztą b. piękna). Weźmy jeszcze inne przykłady. Gdyby np. w czasie meczu piłki nożnej

T y d z i e ń

ROCZNICOWE REFLEKSJE

Na Dworcowej w Warszawie na schodach stoi krzyż, postawiony tam na pamiątkę wydobycia z obok znajdującego się włazu kilkuset ciał obrońców Mokotowa, którzy zginęli w czasie słynnego odwrotu kanałowego z 26 na 27 września 1944 r. Przy krzyżu w pierwszą rocznicę powstania nikt nie stał, w drugą stała honorowa warta harcerzy, w trzecią stanęła warta M. O.

Trochę dalej, na rogu Dworcowej i Puławskiej, znajduje się sklep „Czytelnika“. Z okazji rocznicy powstania postawiono na wystawie flakon białoczerwonych kwiatów i obłożono go „Powstaniem w Mokotowie“ J. Pytlakowskiego.

Ale książkę wydał „Czytelnik“. I sklep należy do „Czytelnika“.

ABY HANDEL SZEDŁ

Wracając Iwazkiewiczowi nagrodę „Odrodzenia“ powiedziała Dąbrowska że jury tak było jednomyślne w jej przyznaniu, że tylko zastanawiała się czy ma ją dać Iwazkiewiczowi, autorowi „Nowel włoskich“, czy autorowi „Nowej miłości“ czy wreszcie „Starej cegielni“.

Ostatecznie nagrodę dostał Iwazkiewicz za „Nowele włoskie“ i „Nową miłość“. Za „Stara cegielnia“ nie dostał.

Dziwny przypadek. „Nowel włoskich“ w handlu nie ma i nikt nie może się przekonać o słuszności decyzji jury. „Stara cegielnia“ wydana została prawie przed rokiem i miała doskonałe recenzje, nawet lepsze niż „Nowa miłość“. Ale „Stara cegielnia“ wydał prywatny „przedsiębiorca“, „Nowa miłość“ — „Czytelnik“, „Nowele włoskie“ ma wydać „Wiedza“... Bardzo to wszystko dziwne...

WIEDZA I PSEUDO WIEDZA

Miesięcznik „Problemy“ cieszył się i cieszy b. dobrze opinią redagowanego pisma, zawierającego zbiór doskonale — z punktu naukowego — a jednocześnie popularnie opracowanych artykułów z rozmaitych dziedzin wiedzy i życia. Niestety — w numerze 4 (1947) spotykamy się z artykułem tak horrendalnym w treści, że nie sposób jest nie zaprotestować.

Naogół artykuły w „Problemach“ pisują ludzie o ustalonej naukowej pozycji. W numerze 4 wyrusza na

harce ktoś pod pseudonimem („chymba“) prof. dr Narcyza Lubnickiego. Jego artykuł „Życie jest dziwne“ zawierający dość nieporadne streszczenie tego, co przeczytany inteligent wie już o dziwach świata na podstawie książek Jensa, Eddingtona, de Kruijfa, Carrela, Beeba, Leeba — zawiera także następujący wywód:

„Autosugestia stwarza u wyjątkowych organizmów psychofizycznych zjawiska, których pospolita opinia nie może nie nazwać „cudem“. Do takich zjawisk należy stigmatyzm...“ Tutaj autor wylicza trzy znane stigmatyczki Joannę z Burgos, Luizę Lafau i Teresę Neumann. Dalej pisze. Autosugestia i sugestia wywierają swój wpływ zwłaszcza na organizmy podatne nerwowo. Nerwice i psychocyzy były zawsze podatnym podłożem krzewienia się wszelkich sugestii... „Cytuje Szumowskiego“: w średniowieczu... całe społeczeństwo było prehisteryzowane na tle religijnym. Świadczą o tym choćby słynne wyprawy krzyżowe dzieci lub pochody flagellantów“. Autor opisuje jedno i drugie oraz konkluduje: „Podłożem tego nowego obłędu były nerwice, najczęściej histerie...“

Histeria jest zaraźliwa — zwłaszcza w zakładach zamkniętych. Naj-

wszedł na boisko dyskobol i urządził popis w rzucie dyskiem. Albo gdyby po odczycie na temat „Biedy polityki czeskiej” zabrał głos uczony i gwałtownie bronił teorii Darwina. Co byśmy pomyśleli? Że jest to conajmniej niewłaściwe. Ale gdy kapłan intonuje „Credo in unum Deum” a baryton mu na to zaśpiewa „O Władco świata”, albo „Wy coście w łzach”, uważamy to za całkiem właściwe. To mogą być rzeczy niebrzydkie, ale na estradzie. Nigdy w czasie Mszy św. Nawet najpiękniejsze pieśni ludowe, o których była mowa na początku, nawet Gorzkie Żale i Godzinki są nie na miejscu w czasie Mszy św. śpiewanej. Na miejscu są tylko śpiewy liturgiczne właściwych zmiennych, a przynajmniej niezmiennych części Mszy św.

Znaczenie, korzyści śpiewu liturgicznego przez lud są nie do objęcia. Poza samą atrakcyjnością, która jest niemała, śpiew taki ożywia pobożność, podnosi stopień gorliwości. Przeciwny katolik, chodzący do kościoła co niedzielę, ma niejasne poczucie, że robi łaskę Panu Bogu, że spełnia czyn niezwykłej cnoty, odwagi i poświęcenia. Tak heroiczny czyn obezwładnia go i wyczerpuje. W czasie nabożeństwa nudzi się, nie rozumie go, nie zna jego porządku, nie wchodzi w treść, nie uczestniczy duchem, sercem i ciałem. Wystarcza mu, że sterczy i zegnje kolano w czasie Podniesienia. Gdyby śpiewał — wszystko by się zmieniło. Brałby żywy udział, rozumiałby, zapalał się. Śpiew to jakby publiczne wyznanie życia, wiary, radości. To służba. A jakież wielkie korzyści społeczne. Wspólny jednogłosowy śpiew jednoczy wszystkich obecnych w ogólnym, a jednym akcie chwaleń i wyznawania Boga. A zarazem to konkret, akt woli i ciała, rozszerzenie i dopełnienie modlitwy. Ryby nie mają głosu, ale człowiek ma: powinien śpiewać. O znaczeniu śpiewu i muzyki w ogóle dla kultury jednostkowej i społecznej może być okazją napisać innym razem. Ale tu trzeba podkreślić jeszcze i rozwój smaku artystycznego, ćwiczenia zmysłu piękna, który katolikowi bardziej jest potrzebny i pożyteczny, niż komukolwiek innemu.

A gdzież smak artystyczny i zmysł piękna lepiej się wyrobi jak nie przy śpiewie gregoriańskim, z którym żadna muzyka świecka równać się nie może? Mozart, twórca najwy-

kwitniejszych, najpiękniejszych utworów muzycznych, które mają niespotykaną u innych mistrzów pogodę, radość, ciepło i subtelność, ten Mozart gotów był oddać całą swoją twórczość za jedną Prefację — kompozycję z czterech tonów. Najpiękniejszy utwór Wagnera — Parsifal zawdzięcza całą swoją wartość gregoriańskiemu tematowi, żywcem przepianym na dęte instrumenty orkiestry „Cud Wielkopiątkowy”, acz niezawierający wyraźnych tematów chóralu, pochodzi z ich ducha. Dziwi nas to. Myśmy już tak ztratili smak muzyczny, że trzeba aż geniusza, by poznał się na pięknie. Dla nas piękniejsze są tanga Białostockiego itp. To też nic dziwnego, że wszechwładnie w życiu naszym panuje brzydota i nuda. Kościół katolicki musi być znowu śpiewającym, jeśli chce być walczącym i zdobywać ludzi dla świata piękna i piękno na świat wprowadzać.

Wobec tak niezmiernych korzyści trudno się dziwić, że wielu kierownicy i organizatorzy kościoła, jak św. Ambroży, św. Grzegorz Wielki papież — tyle zajmowali się śpiewem wiernych. Wspominałem już, że ostatnio papież Pius X i XI zwrócili uwagę na „śpiew ludu” tj. chór gregoriański i polecieli biskupom i kapłanom przywrócić go w kościołach katolickich na całym świecie. Jak to dobrze, że choć jedna osoba na świecie wie napewno, co jest słuszne. Papież Pius X w swym Nótę proprio zrobił nawet z tej sprawy kwestię dyscypliny, bo pod koniec swej enuncjacji zwraca uwagę, by powaga głowy Kościoła nie uciepiała wskutek przewlekłego wykonywania jego zarządzeń.

Mimo, że już mija 44 lata od wydania tej konstytucji niewiele się dotąd w tej sprawie zrobiło. Nie należy jednak wątpić o tym, że się to ostatecznie zrobi. Śpiew gregoriański mówi sam za siebie i napewno wywalczy sobie należyte miejsce w życiu Kościoła. To, co dobre zawsze spotyka duże opory, ale też zawsze ma dość siły, żeby je przezwyciężyć.

Najgorszy jest początek. Czy chłopca i robotnika można nauczyć śpiewać po łacinie liturgiczne teksty? To jest szkopał praktyczny. Otóż ten szkopał jest przezwyciężony. W archidiecezji warszawskiej znam dwie parafie, gdzie chłopcy i robotnicy śpiewają Msze odpowiednie na każdy

czas. W Warszawie zaprowadził to ks. Sprusiński w parafii na Lesznie. W Niegowie uczynił to ks. Nowacki, największy w Polsce miłośnik, znawca i nauczyciel śpiewu gregoriańskiego. Trudno mi opisać wzruszenie, jakiego doznałem na sumie w Niegowie. Odniosłem wrażenie, że chłopcy śpiewają chórą lepiej niż zakonnicy, czy alumnicy. Szczególnie kobiety Tłumaczę to sobie tym, że życie chłopca — szczególnie wiejskiej kobiety — jest najbogatsze duchowo w porównaniu do wszystkich klas i zawodów. W życiu ciężkim, pełnym trudu, braku, poświęcenia, zapomnienia o sobie, ustawicznego wysiłku woli i ciała, kobieta wiejska wydobywa z siebie i rozwija takie walory, jakich trudno znaleźć gdzieindziej. I dlatego śpiew jej jest mocny a czysty, świeży, narodził się ciepłem, przekonaniem, ufnością. Oczywiście te walory może wydobyć, szarmonizować, zjednoczyć tylko dobry nauczyciel. Lecz ks. Nowacki jest dobrym nauczycielem. I ma chętnych, a pojętych uczniów. Aż przyjemnie posłuchać gdy chłopcy jedzie na wozie i śpiewa sobie Kyrie Eleison, idzie za pługiem i przypomina sobie Credo. W trzy miesiące już się wszystkiego nauczyli, Młodzież i dzieci też śpiewają. Ostatnio była w Częstochowie pielgrzymka z Niegowa. 250 osób. Śpiewali oczywiście na zaproszenie OO. Paulinów, którzy też im serdecznie dziękowali za to, że po raz pierwszy usłyszeli w Częstochowie pielgrzymkę polską, chwalać Najświętszą Panie „autentycznym śpiewem Kościoła”. Jeszcze jedna tylko pielgrzymka podobnie chwaliła Jasnogórską Królową, pielgrzymka francuskich jeńców wojennych. Wiadomo jak we Francji odrodził się ruch liturgiczny, a z nim i śpiew gregoriański. Życie Kościoła bez właściwego śpiewu zamiera i wraz z nim się odradza.

Należy mieć nadzieję, że i u nas śpiew gregoriański rozpowszechni się. Śpiew jest zaraźliwy, Niegów zaraża całą Polskę. I wtedy podniesie się poziom muzyczny narodu i to, na czym p. Dr. Putkowski tak zależy, twórczość ludowa muzyczna, nie tylko kościelna ale i świecka — ożywi się i rozwinie. Nie mówię już o korzyściach dla życia religijnego. Sprawiedliwy żyje z wiary. A świat żyje z Kościoła. Jest obowiązkiem Kościoła dbać o siebie, a wtedy i świat będzie wyglądał i żył inaczej

Zygmunt Jankowski

Z książek nadesłanych

SPÓŁDZIELNIA WYD. „KSIĄŻKA”,
WARSZAWA

J. Narbutt — LUDZIE I WYDARZENIA, r. 1947, str. 118, zł 150.—
Stanisław Ryszard Dobrowolski — WOLNOŚĆ, ALE JAKA? r. 1947, str. 128, zł 150.—

Zofia Nałkowska — ROMANS TERESY HENNERT, wyd. III, str. 216, zł 300.—

Hugh Lofting — CYRK DOKTORA DOLITTLE, ilustracje autora, przekład Janiny Mortkowiczowej, str. 278, zł 300.—

Stanisław Ehrlich — ZAGADNIENIA PRAWORZĄDNOŚCI, str. 24, zł 50.—

Anatol France — WSPOMNIENIA MOJEGO PRZYJACIELA, przekład Gabriel Karski, str. 210, zł 320.—

Maria Jarochowska — LUDZIE, KTÓRYM SIĘ NIE STAWIA POMNIKÓW, r. 1947, str. 188, zł 120.—

Zofia Szymanowska — ZWYCIĘSTWO powieść, r. 1947, str. 332.

Eliza Orzeszkowa — CHAM, z wstępem prof. Juliusza Krzyżanowskiego, r. 1947, str. 261.

Zofia Żurakowska — POJDIEMY W ŚWIAT, opowiadania dla młodzieży, r. 1947, str. 79.

Balzac — EUGENIA GRANDET, Komedja ludzka, przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Boy-Zeleński, str. 216, zł 280.

Adam Mickiewicz — DZIADY, Biblioteka pisarzy polskich i obcych, cz. I, II, IV i III, opracował Juliusz Saloni, wstęp Mieczysława Jastruna, str. 254, zł 150.

WYDAWNICTWO GEBETHNER I WOLFF, Warszawa:

Michał Rusinek — PRAWO JESIEŃ, powieść, str. 292.

Ewa Szelburg-Zarembina — WĘDRÓWKA JOANNY, wyd. IV, str. 327.

Leopold Buczyński — WERTEPY, str. 229.

WYDAWNICTWO KOMITETU OFLAROWANIA ARCH. POZNAŃ, MATCE NAJŚWIETSZEJ:

Ks. Bp. Dr. St. Wyszyński, Ordynariusz Lubelski — CHRYSOSTUS SPOLECZNIK, r. 1947, str. 17.

Ks. Bp. Dr. K. Kowalski, Ordynariusz Chełmiński — CHRYSOSTUS ARCYKAPŁAN, r. 1947, str. 19.

Ks. Dr. Zygmunt Baranowski, prof. Arcyb. Seminarium Duchownego — SEMINARIUM DUCHOWNE W POZNANIU, jego zadania i dzieje, r. 1946, str. 17, zł. 50.

Ks. Dr. Zygmunt Baranowski — MAŁŻENSTWO W NOWEJ POLSCE, uwagi praktyczne, wydanie II, rok 1946, str. 29.

Ks. Dr. Piotr Chojnacki, prof. Uniwersytetu Warsz. — PORADNICTWO PSYCHOLOGICZNE NA USŁUGACH DUSZPASTERSTWA, r. 1947, str. 14.

Ks. Dr. Lech Kaczmarek, prof. Instytutu Wyż. Kultury Religijnej — NAUKA O MISTYCZNYM CIELE CHRYSOSTUSA PANA, r. 1947, str. 18.

Ks. Dr. Piotr Chojnacki, prof. Uniwersytetu Warsz. — FILOZOFIA I JEJ STOSUNEK DO INNYCH NAUK I DO TEOLOGII, r. 1947, str. 15.

Ks. Prof. Dr. J. Umiński — ZASŁUGI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO DLA PANSTWA I NARODU POLSKIEGO, r. 1947, str. 19.

Ks. Prof. Dr. Józef Umiński — KRYZYSY KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO, r. 1947, str. 19.

Ks. Prof. Dr. Zygmunt Baranowski — TEOLOGIA NATURY, r. 1947, str. 15.

KSIĘGARNIA ŚW. JACKA w Katowicach:

Ks. R. Tomanek — MSZAL NA NIEDZIELE I ŚWIĘTA, r. 1947, str. 536. — DZIECI UCZESTNICZA W MSZY ŚW., str. 36.

WYDAWNICTWO WŁ. BAKA, Łódź — Wrocław:

J. I. Kraszewski — KRZYŻACY, obrazy z przeszłości 1410 r., seria historyczna, tom I, str. 196, tom II, str. 188.

WYDAWNICTWO KURII METROPOLITANNEJ w Gnieźnie:

ŚWIĘTY WOJCIECH 997 — 1947, Księga pamiątkowa pod redakcją:

Zbigniewa Bernackiego, Feliksa Jordana, Kiryła Sosnowskiego i Mieczysława Suchockiego, str. 369.

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA KATOLICKA, Częstochowa:

M. Puzyna — MOJE WSPOMNIENIA O MARII RODZIEWICZOWNIE, r. 1947, str.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”, Warszawa:

Tadeusz Manteuffel — ŚREDNIEWIECZE, r. 1947, str. 150.

Zofia Szymanowska — OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU, r. 1947, str. 139.

André Maurois — KLIMATY, powieść, przekład Wacława Rogowicza, r. 1947, str. 230.

Ignazio Silone — CHLEB I WINO, wyd. III, r. 1947, str. 383.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”, Warszawa:

Irena Krzywicka — RODZINA MARTENÓW, pow., r. 1947, str. 190.

Antoni Gołubiów — BOLESŁAW CHROBRY, powieść, cz. I — PUSZCZA, str. 426, cz. II — SZŁO NOWE, str. 598 r. 1947.

Zygmunt Szymański — JAROSŁAW DĄBROWSKI, r. 1947, str. 79.

Stanisław Kowalewski — OFIAROWANIE, opowiadania, str. 191.

Zofia Kossak — PUSZKARZ ORBANO, wyd. II, r. 1947, str. 220.

Zofia Kossak — GRÓD NAD JEZIOREM, wyd. II, str. 143.

Jacek Wołowski — TAK RYŁO, str. 246.

Wiktor Jakubowski — SŁOWNIK ROSYJSKO - POLSKI I POLSKO - ROSYJSKI, cz. I rosyjsko - polski, cz. II polsko - rosyjski, słowniki podręczne „Czytelnika”, r. 1947.

Aniela Gruszecka — W GRODZIE ŻAKÓW, opowieść, wyd. III, z ilustr. Jerzego Karolaka, r. 1946, str. 264.

Julian Tuwim — WYBÓR POEZJI 1914 — 1939, str. 279, r. 1947.

Czesław Jacek Centkiewicz — WYSPA MGIEŁ I WICHRÓW (pierwsza polska ekspedycja międzynarodowego roku polarnego 1932/33), wyd. III poprawione i uzupełnione, r. 1947, str. 309.

WYDAWNICTWO ŚW. JACKA, Katowice:

Walny Majdański — GIGANCI, wyd. III, str. 231, cena 380 zł.

Zofia Kossak — Szatkowska — BEATUM SOELUS, r. 1947, cena 220 zł.

Gustaw Morcinek — LISTY Z MOJEGO RZYMU, r. 1947, str. 151, cena zł 240.

Jan Guńia — CUDOWNY ŚWIAT PRZYGÓD, (wolny przekład), r. 1947, str. 199, cena zł 300.

Jan Baranowicz — MADEJOWA KLECHDA, Baśń sceniczna w 5 aktach z prologiem. (Rzecz nagrodzona nakonkursie dramatycznym Światowego Związku Polaków z Zagranicy przed wojną), r. 1947, str. 69, cena złotych 120.

WYDAWNICTWO EXPRESS WIECZORNY, Warszawa:

Kazimierz Wroczyński — BACZNOŚĆ! A. R. 7, powieść o atomie, r. 1947, str. 232.

PANSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, Warszawa:

Władysław Kowalski — W GRZMIACEJ, powieść, wyd. II, r. 1947, str. 273.

WYDAWNICTWO K. BREITER, Londyn — Rzym:

Melchior Wankowicz — KUNDLIZM, r. 1947, str. 88.

WYDAWNICTWO FRANCISZEK BOROVI, Praha:

POCHODNE — wybór z polskie poezie 1938 — 1945, przełożył Jan Pilar.

WYDAWNICTWO „VERBUM”, Kielce:

O. Ambroży Gardził O. P. — DUCH ŚW. W ŻYCIU CHRZEŚCIJAŃSKIM, autoryzowany przekład z francuskiego Marii Stokowskiej, str. 223.

kulturalny

idealniejsze warunki dla historii stanowią w średniowieczu klasztory... Historyczkami są stygmatyzowane, o których była mowa...”

Mamy więc nową grupkę ataku na katolicyzm, przy użyciu zastony dymnej — „wiedzy”, a pozatem wszystkich rekwizytów i naiwnostek właściwych pisarzom XIX wieku.

Nie będziemy tutaj polemizowali — tyle razy już odpowiadano na ten temat „naukowcom” z XIX wieku — z prof. dr Narcyzem Lubnickim. Zwrócimy tylko uwagę na pewne fakty. Nauka katolicka wcale nie zaprzecza, że pewną kategorię cudów można wytłumaczyć naukowo. Być może, że niektóre zjawiska stygmatyzmu (stygmatykami był św. Franciszek, a prawdopodobnie także św. Paweł) dadzą się podciągnąć pod kategorię autosugestii — co wcale nie odbiera im jednak cech cudowności. Wyjątkowe bowiem skojarzenie „organizacji psychofizycznych” jednostki z wyjątkowym napięciem energetycznym jej modlitwy wreszcie z wyjątkowymi okolicznościami „należy uważać niewątpliwie za zbieg zupełnie cudowny. Według „naukowca” z „Problemów” tylko autosugestią można wytłumaczyć „cudowne ocalenie” w Lourdes „i w innych sugestywnych

miejskach pielgrzymek”. Niewątpliwie — autosugestia działa w Lourdes — ale działa w wyniku cudownego skojarzenia modlitwy, miejsca i predyspozycji człowieka, który prósi o uleczenie. Bóg nie zawsze działa zawieszając prawa przez Siebie stworzone. O wiele częściej posługuje się już itniejącą energią. Dlaczego? Odpowiedź znajdziemy w Piśmie Św.: aby ci co chcą wątpić — mogli wątpić, aby ci co nie chcą wierzyć mogli nie wierzyć, aby człowiek — istota wolna — mógł, gdy chce, nawet opierać się Bogu.

Połączenie sprawy stygmatów i cudów z rzeczywistością chorobliwymi wyskokami, jakimi byli biczownicy i kruczają dziecięce jest zwykłą nieuczciwością. Kościół głosi cuda i uznaje stygmatyków (choć nie śpieszy się z ich uznaniem — do dziś dnia nie uznał Teresy Neumann), natomiast Kościół zwalczał biczowników i zwalczał — nawet bardzo ostro — kruczają dziecięcą. Uogólnianie w stylu: wszyscy stygmatycy są histerykami, całe społeczeństwo w średniowieczu było rozhysterizowane, zakony były siedliskiem historii — są również dialektyczną nieuczciwością. Średniowiecze stworzyło wspólnotę kultową, której pionierami były

właśnie zakony. Dziś kultura kona przywalona przez mechaniczną cywilizację, zaś liczba wymysłowo cherych dochodzi nieprawdopodobnych liczb. Hitler mógł żyć tylko w XX wieku, myślowe zбочenia współczesnych sekt są tylko możliwe jako wynik czynów niewiary i odejścia od chrześcijaństwa.

SPROSTOWANIE

Szanując dobre obyczaje dziennikarskie wyjaśniamy, iż recenzja p. Tomasza Burzeckiego zamieszczona w nr. 31 (88) naszego tygodnika, pt. „Tak nie było” zawiera szereg niesłusznych i niesprawiedliwych sugestii i posądzeń pod adresem autora książki „Tak było”, których redakcja nie podziela i za które odpowiedzialności brać nie chce.

Redakcja

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynia, wojew. Warszawskie

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło ¹⁵⁾

Ostatnie chwile Starego Miasta

...W tym końcowym momencie i my podjęliśmy znowu otwartą walkę. Minął miesiąc od chwili, gdy w Warszawie rozpoczęliśmy Powstanie, które mimo największych trudności trwa i rozwija się zwycięsko...”

Ryk szycerzego śmiechu całej gromady zagłuszył jego słowa.

Grupa chłopców i dziewcząt poszła dalej, a on stał i czytał, rozważał każde słowo, każde zdanie...

...Chcieliśmy odeprzeć z bronią w rękę przygotowany przez Niemców ostatni zamach na żywe siły Polski w chwili opuszczenia Kraju, chcieliśmy przeszkodzić zapowiadanej zemście na buntowniczej Warszawie...

...Wreszcie chcieliśmy uwolnić Polskę od gniołającej zmyry kaźni Gestapo i mordowni więziennych. Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać...”

DO KONCA NA STRAŃCONEJ REDUCIE

Tymczasem Starówka trwała jeszcze w walce. Ostatnie patrole schodziły z barykad, ciągnęły do wjazdów. Pustoszyły ruiny, reducy i ulice. Wielu mieszkańców nie wyszło. Ukryli się w ruinach, głębokich piwnicach i podziemiach. Lekko ranni powlekli się o własnych siłach do kanałów. Wielu unieśli towarzysze broni i sanitariuszki.

Najtragiczniejszy był los ciężko rannych powstańców. Setki ich zalegało mroczne piwnice, podziemia, na gnijących barłogach. Od kilku dni personel szpitali, otrzymawszy rozkazy ewakuować się spieszenie i z ulgą kanałami do Śródmieścia, zabierając ze sobą narzędzia chirurgiczne, opatrunki i apteki. Były potrzebne dla tych, którzy jeszcze walczą. Położenie ciężko rannych stawało się jednak tym gorsze.

Wszyscy skazani byli na strasliwą powolną śmierć w męczarniach nie tylko z ran, ale z głodu. Nie było już nawet komu podać im wody. Nadmiar dręczył opuszczonych lek. Wiedzieli jak odbywa się zajmowanie szpitali. Wielu zwlekało się ze swoich barłogów, na ulice. Błagali przechodzących, aby oszczędzono im cierpienia i nie żałowano dla nich ostatniej kuli. Nie mogąc doczekać się kresu cierpienia, zadawali sobie śmierć szybką, łatwiejszą i taką jaką sami wybrali.

W tych ostatnich godzinach pułk. Jesion spotyka, O. Tomasza (Roztorowski). Twarz i oczy księdza mają tak inny wyraz od twarzy tych wielotysięcznych rzesz powstańców i ludności cywilnej. Promieniuje z nich spokój, ufność i pokora.

Nie zmogło go tyle nieszczęść. Wymordowanie ojców i braci zakonu. Spalenie świątyni, biblioteki, cel i całego zacisznego klasztoru tusculum. Oddane przez kościół św. i naród w straż relikwie Andrzeja Boboli, choć przeniesione do podziemi kościoła św. Jacka, legły pod gruzami, zmieszane z tysiącami straszliwie zmasakrowanych ciał.

— I cóż Ojciec? — zapytuje pułkownik.

— Jest rozkaz Dowództwa, aby wyjść kanałami. Co robić? Jestem kapłanem wojskowym. Tyłu tych nieszczęśliwych pozostawić na lasce losu.

— To już Ojciec sam musi decydować. Rozkaz jest rozkazem. W takich chwilach...

— Dzieliłem z nimi chwilę największego uniesienia, największych nadziei i radości. Znakiem krzyża świętego i modlitwą wyprawiałem ich do walki. Więc mam ich pozostawić? W rękę Chrystusa są nasze losy. Żegnaj Pana Pułkownika, Niech Chrystus prowadzi.

I pozostał. Myślę, że może w tych chwilach zagłady staroniejskiej dzielnicy Ojciec Tomasz był najbliższy swojemu Wielkiemu Przednikowi, był na jego drodze, kiedy młodych porywał swoim przykładem, kiedy szerzył wiarę w ostateczny triumf sprawiedliwości, zwycięstwo prawdy, w nadejście dnia wyzwolenia, — kiedy z tymi najniebezpieczniejszymi postanowił dzielić los do końca, z własną woli.

Batalion „Gozdawa”, broniący twardo niedobytą reducy „Miodowa” (tak nazywa się odcinek Senatorskiej, od Miodowej do Daniłowiczowskiej), szkuje się do przejścia kanałami. W kompaniach, plutonach, ruch nibywały, podniecenie, ostatnie przygotowywa-

nie tego, co można ze sobą zabrać. Oczywiście całą broń, amunicję i całe oporządzenie trzeba ze sobą wziąć. Pluton broni maszynowej może poszczycić się karabinem maszynowym, wymontowanym ze szczątków samolotu niemieckiego, który przed kilkunastu dniami zawadził o dom Spiessa i runął na rogu Hipotecznej.

Zabierają też i lekko rannych.

PATROLOWA LUTA I SANITARIUSZKA HALSZKA

W reducie „Miodowa” dwudziestoletnia patrolowa Luta melduje dowódcy prośbę. Pragnie odejść z kompanii.

Dowódca patrzy na nią zdziwiony. — Dlaczego?

— Pragnę pozostać tutaj. Wiem, że wszystkie szpitale są przeładowane ciężko rannymi. W szpitalu Długa 7 personel wykwalifikowany odszedł, pozostało zaledwie kilka młodych sanitariuszek, którym ręce opadają ze znużenia...

— Jesteś potrzebna w naszej kompanii, — oponuje dowódca — jesteś naszą najbardziej wykwalifikowaną siłą.

— W kompanii jest 10 sanitariuszek, więc oddział nie odczuwa mojej nieobecności. Mam już zgodę komendanta szpitala w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości...

— Więc twoja decyzja jest ostateczna.

— Tak jest.

Za chwilę żegna swoje koleżanki i chłopców z kompanii i odchodzi na nowe stanowisko.

W godzinach popołudniowych zastępca dowódcy reducy „Miodowa” wydaje rozkaz odwrotu kanałami.

Po północy plutony z całym oporządzeniem wędrują do bocznego kanału na Daniłowiczowskiej. Ppor. Chrabąszcz poprowadzi grupy lekko rannych i ludzi bez broni, zaś ppor. Sieradz znacznie później ściągnie ostatnie placówki i poprowadzi je pod wjazd.

Nie mogą zabrać ze sobą czterech ciężko rannych, którzy leżą na stercie węgla w piwnicy obszernego domu na Miodowej.

Cały oddział troszczy się o ich los.

Zgłasza się ochotniczko sanitariuszka Halszka, siedemnastoletnie dziewczątka, o jasnych włosach i delikatnych rysach. Zdaje sobie jasno sprawę, co może ją czekać, gdy wędrują się bandy esesmanów i ukraińców w opuszczonej reducie od strony Senatorskiej, czy z Placu Zamkowego. Wie i to, że w swojej torbie sanitarnej nie ma żadnych lekarstw i środków — i nigdzie ich nie znajdzie. Jednak samą obecnością ulży cierpieniom rannych. Dla niej jest to jasne i proste. Żołnierz trwał do końca na posterunku —, i sanitariuszka musi spełnić do końca swój obowiązek. Tego wymaga sprawa.

PUSTOSZEJĄ BARYKADY

Niemcy są oddaleni zaledwie o kilkanaście domów i od ostatnich grup osłonowych. Trzymają pod ogniem ulicę Długą.

Napięcie nerwowe wśród oczekujących na wejście do kanałów dochodzi do szczytu. Wszystkie oczy zwracają się w stronę malego otworu na środku ulicy. Nagle z wjazdu zaczynają się wydobywać kłęby gryzącego dymu. Tłum dretwieje z przerażenia. Wejście jest niedostępne. Ostatnia droga ratunku i ocalenia zamknięta. Okazuje się jednak, że to tylko pioną od pocisków bele materiałów, porzucone tobołki i bagaże, otaczające wjazd. Po długich chwilach ludzie posuwają się znowu. Następuje odprężenie.

Przez krzyki, jęki, nawoływania przebiega trzask wokół palących się domów. Dym kłębi się i ślania, wdziera do szkieletołów wypalonych kamienic i wypływa oczodolami okien. Coraz większy niepokój ogarnia czekających. Rozwidnia się. Wokół jest jakos dziwnie czerwono i jasno. Czy zdążą wejść? Niemcy zwykle z rana przypuszczają szturm.

Naraz z kanału słychać przejmujące krzyki. Z wjazdu gramolą się dziwne postacie. Nerwowymi ruchami dotykają poparzonych rąk i nóg. Wiszą na nich, wyżarte przez pionienie strzępy ubrań. Czuć swąd spalonych szmat.

— Niemcy wleli do kanałów benzynę... Opowiada urywany zdaniami młoda dziewczyna. Spod wypalonych, uszarganej i mokrej sukienki wyzierają nogi i brudne kolana.

„Zobaczyłam nagle wjazd. Pod nogami płynął ognisty strumień. W kanale zrobiło się jasno. Ludzie krzyczyli i uciekali, przewracając jedni drugich...”

Wejście do kanałów jest niemożliwe, ta droga odwrotu zamknięta. Ludzie stoją bezradni i tępo patrzą jedni na drugich.

Grupa młodych chłopców z peemami, prawie wszyscy ranni, otaczają starszego wiekiem swojego dowódcę. — Proszą go.

— Józek — przyjaciół, oddaj swoim chłopcom ostatnią przysługę.

Postaw nas pod ścianę... masz jeszcze te osiem ostatnich naboł. Wygarnij zdrowo po nas. Zrozum, lepiej nie żyć, niż wpaść w ich ręce. Zginieć jak powstańcy, jak polscy żołnierze.

Dowódca ich próbuje im coś tłumaczyć i mitygować.

— Nie wszystko jeszcze stracone. Przebieżcie się w cywilne ubrania. Może uda wam się wymknąć. Zwłaszcza ci, którzy mają rodzinę, obowiązki powinni ochraniać życie. Śmierć bracia, to najłatwiejsze wyjście z opresji życiowej. Może jednak ogień wygaśnie w kanale. Musimy do końca trwać.

Jakiś major stara się opłanować sytuację. Zwołuje odprawę dowódców grup, które nie zdążyły wejść. Jest z górą około 300 powstańców. Podaje możliwości wyjścia ze Starówki. Trzeba będzie próbować wejść poraz drugi do kanału, może ogień spłynie z wodą. Jest jeszcze druga możliwość: w podziemiach gmachu Archiwum Akt Dawnych znajdują się z górą 100 jeńców niemieckich, których nie zdążyli ewakuować. Należy uczynić z nich żywą tarczę ochronną, jak to oni robią i pod taką osłoną próbować się przebić górą. Na koniec rozmundurować się i pozostać jako cywile, dzieląc los mieszkańców.

Zostaje wyznaczony patrol rozpoznawczy, który sprawdzi, czy możliwe jest przejście kanałami. Dowódcy komunikują to oczekującym. Wciąż padają pytania, co będzie.

Około 8-mej godziny zjawia się jakiś oficer w korytarzu piwnicy i zapytuje:

— Patrol do wjazdu.

Jeszcze go nie wyznaczili odpowiada ktoś z gromady. Trzeba korzystać z okazji.

Kompanijny Sęp (Wodzyński Jan), z grupy „Wigierczyków”, mówi:

— Chłopcy idziemy.

— Byczo jest. Kto pierwszy skacze przez ulicę?

— Brykaj Sęp pierwszy, my damy nura za tobą.

Chłopcy są okryci mokrymi kocami. Ma to ich zabezpieczyć przed ogniem. Długą chwilę wyczekują przerwy między wybuchem jednego, a drugiego granatnika. Po czym szybko wypadają i wczolgują się do wjazdu. Z kanału bije zaduch spalonej benzyny i szmat. Po chwili dają znać. Można posuwać się. Długi wąż rusza. Czołgają się do wjazdu. Nie trwa to długo.

Słoneczny ranek, przedostaje się przez powietrze ciężkie od dymu, kurzu i spalenizny. Słychać warkot samolotów. Ludzie rozbiegają się, kryją i przytulają się do murów. Niektórzy padają na ziemię. Gdzieś w najbliższym sąsiedztwie padły bomby. Podmuch rozniósł płonące głównie, tynek i kamienie. Przysypało grupkę powstańców, czekających na wejście do kanału. Biegają im z pomocą. Odkopują i wyciągają nieprzytomnych i skrwawionych.

W pobliżu zaczynają strzelać granatniki. Ich pociski docierają wszędzie. Każdy z czekających myśli, aby jak najprędzej znaleźć się w kanale. Naloty samolotów, eksplozje bomb, ogień granatników i ciężkich dział trwa nieustannie. Niemcy zbliżają się coraz bardziej. Są oddaleni zaledwie o kilka domów. Kulki białymi obłoczkami kurzu odbijają się od murów domów, tuż przy wjeździe od Freta słychać karabiny maszynowe. Widzą jak złośliwie bruzdy w murze. Chłopcy sto-

jąc na środku jezdni, strzelają w kierunku skąd słychać strzały. Kilku z nich dosięgły kule. Dobiegają do nich sanitariuszki i unoszą gdzieś w ruiny. Jakiś starszy pan w mundurze bez oznak stara się głosem pokonać huk wystrzałów.

— Grupa Radosław do mnie, pod mur, psiakrew rozejść się cywile, bo mi ludzi wystrzelają...

Przez szerokość ulicy przebiegają jeszcze jakieś grupki, coraz to ktoś padnie, aby więcej się nie podnieść. Przed bramą domów stoi jeszcze kilku młodych chłopców. Strzelają, trzymając w pewnej odległości nacierających niemieców. Walczą do ostatniego tąpnięcia. Sami pewnie padną, ale inni wejdą do wjazdu, ujdą śmierci, będą mogli walczyć dalej.

Za chwilę znów w powietrzu warkot wielu motorów. Ciemne kadłuby samolotów niemal ocierają się o szczyty kamienic. Mury wałają się i zasypują wiaz. Droga do Śródmieścia jest zamknięta. Odcięte grupki powstańców czynią rozpaczliwe wysiłki, aby uciec i znaleźć inną drogę.

Starszy sierż. Sęp (Sokołowski Franciszek) ze swoją grupką przebiega przez gruzy na Długą 21. Wąskim kanałem dobiegowym chce dotrzeć do burzowca. Wydaje się to wprost niemożliwe. Przejście w kanale jest tak małe i wypełnione gęstymi ściekami, że mogą się posuwać na czworakach, unosząc ponad powierzchnię usta, utrzymując łączność między sobą, trzymając się buta poprzednika.

W burzowcu woda sięga po kolana. Spotykają grupki rannych, wlokących się ostatkiem sił. Po wielu godzinach marszu udaje im się dotrzeć do Śródmieścia. Inni błądzą w kanale, aż ich wyciągną Niemcy.

D. C. N.

RES SACRA

Artystyczne wydawnictwa i dewocjonalia

CZĘSTOCHOWIA, WIELUNSKA Nr 1

Lata 1947 i 1949 - to lata rocznic

św. Wojciecha

ROK 1949 950 lat kanonizacji
1947 1947 lat męczeństwa

Na przeciąg tych lat aktualna broszurka:

„ŚW. WOJCIECH A POLSKA”

Stefanii Podhorskiej-Okolów. Każdy Polak winien znać dzieje początków naszej państwowości. Temu celowi odpowiada wymieniona broszurka. Wydana w artystycznej okładce z trzema rysunkami w tekście, projektu prof. Józefa Hollaka. Ponadto w artystycznej okładce wydano

„TAJEMNICE RÓŻANCA ŚW.”

Rozważania Anieli Stomunowej

Krótkie, zwięzłe, treściwe myśli przy odwołaniu różanec.

„JASNA GÓRA”

Jerzego Goździka

Krótki zarys historyczny. — Treściwie podano tam dzieje Jasnej Góry, od początków legendarnych aż do czasów dzisiejszych.

Cena broszurek 40 zł.

Wysyłka z pobraniem pocztowym plus koszt. Księgarnie i odsprzedawcy zamawiający nie mniej 25 egz. — rabat 30%.

UWAGA!!!

Z druku w najbliższych tygodniach wyjdzie w artystycznej okładce dawno oczekiwana praca pt.:

KONFERENCJE I KAZANIA MISYJNE I REKOLEKCJE

Praktyczny podręcznik dla księży parafialnych i rekolekcyjistów Ks. Stanisława Marchewskiego, Kanonika Wiślickiego i Dziekana w Świdnicy. Niezwłocznie nadsyłać zamówienia ze względu na ustalenie nakładu. Cena 750.— zł + koszt przesyłki. Wpłacający od razu, a nie później jak do 1.VIII br. otrzymają za cenę 525.— zł bez kosztów przesyłki. Wpłacać na konto P.K.O. Nr VII-252. Bank Handlowy w Warszawie S. A. Oddział w Częstochowie:

„RES SACRA”

Wanda Kieszowska

Jak Aleksander hr. Chodkiewicz w roli Don Kichota walczył z wiatrakami

W zbiorowym wydaniu dzieł Franciszka Morawskiego (1882), generała wojsk polskich, a bardzo znanego i lubianego w swoim czasie poety, znajdujemy ciekawą i zabawną anegdotę, w której główną rolę odgrywają dwie nader znaczne osobistości ówczesnego świata literackiego, politycznego i towarzyskiego — Julian Ursyn Niemcewicz i Aleksander hr. Chodkiewicz.

Wiadomo, jak powszechną cziłą popularnością i uznaniem cieszył się „pan Ursyn” w społeczeństwie polskim w pierwszych dziesiątkach XIX stulecia. Postać jego, — rycerska i piękna postać poety-żołnierza, wieszczą narodowego, niestrudzonego bojownika o niepodległość, adiutanta i towarzysza Kościuszkowskiego, wręcz się za wygnania-tułańca, rzucającego przybraną ojczyznę i powracającego do kraju na pierwszy odgłos wolności, miała w sobie jakiś przedziwny urok, przyciągający serca rodaków z nieodpartą siłą. Samo imię Niemcewicza stało się sztandarem narodowym, hasłem i symbolem patriotyzmu i honoru, męczeństwa, ofiary i wiernej służby ojczyźnie, zdanie jego z góry uznane było za wyrocznię, a każde słowo miało siłę i powagę autorytetu.

A choć przy swych niewątpliwych a znacznych zasługach, przy licznych i cennych cnotach i zaletach, odznaczał się nasz „pan Ursyn” humorem zmiennym, a nader drażliwym, dowcip zaś miał cięty i zjadliwy, nie przepuszczający nikomu, kto tylko miał nieszczęście mu się narazić, wielkoduszni w tym wypadku rodacy przebaczały mu te usterki chętnym sercem, zamykając po prostu oczy na nie i nie chcąc dostrzegać żadnych plam na swym słońcu.

Jeżeli tak wysoce był ceniony Niemcewicz jako człowiek i obywatel, to zasługi jego na polu literackim też są niemałe. W utworach jego już bardzo wcześnie znajdujemy odblask nowszych, nieznanych jeszcze w Polsce prądów, z którymi miał sposobność zetknąć się bliżej podczas licznych podróży odbywanych po Europie, i ta właśnie cecha stanowi jego trwałą pozycję w literaturze.

Poza tym jednak czysta sprawiedliwość każe wyznać, niestety, że muza Niemcewicza oddana była nie tylko na usługi ojczyzny, cnoty i honoru, lecz obniżając nierzadko swój lot, służyła za uście dla zgryźliwo-satyrycznego humoru i intencji, a nawet, co już najmniej przydawało jej zaszczytu, używana była niejednokrotnie do załatwiania porachunków osobistych, rozprawiania się z przeciwnikami, do których powziął jakąś niechęć, czy urazę, a których w takim wypadku pograżał, piętnował i ośmieszał bez skrępowań.

A choć przez współczesnych uważany był za wielkiego poetę, za wieszczę narodowego, to z odległości czasu i na tę również sprawę spoglądamy dziś nieco inaczej, tylko pewnym, nielicznym zresztą jego utworom przyznając wartości trwałe i nieprzemijające. A jednym z głównych zarzutów, podnoszonych przeciwko Niemcewiczowi, jako pisarzowi, na który już nawet jego współcześni zwracali uwagę, stanowiła zaniedbana forma, styl nieporządkny i często chropawy, co sprawiało, że prace jego czynnym przeważnie wrażenie czegoś niewykończonego, pisanego w wiecznym pośpiechu, prawie na kolanie, mówiąc stylem obrazowym i nieco rubasznym.

Stanowisko generała Aleksandra Chodkiewicza było jak gdyby żywym przeciwieństwem tego, jakie zajmo-

wał Niemcewicz w społeczeństwie. Jeżeli pierwszy był przeceniany, to drugi stanowczo niedoceniony. Zbiórano skrzętnie najblaszsze słowa z ust Niemcewicza, wsłuchiowano się z namaszczeniem w jego wypowiedzi, rozchwytywano dzieła i powtarzano z ust do ust najprzeróżniejsze jego dowcipy i sarkazmy, które lotem ptaka obiegały całą Warszawę, na Chodkiewicza zaś spoglądano zawsze z pewną wyższością, z odcieniem pobłażliwej sympatii, bardzo bliskiej nieraz ironii, jak na fantastę, dziwaka, wielkopańskiego dyletanta, wcale lekko sobie ważąc jego niepoślednie zasługi, prace i rzeczywiste zdobycze naukowe. Szanowali go oczywiście wszyscy, bo i zresztą nie mogli nie szanować tak wielkich zasług i bezprzykładnej prawie ofiarności, jaką składał ojczyźnie i nauce i z jaką przyczyniał się do rozszerzania oświaty w kraju, ale mało kto naprawdę rozumiał go i cenił tak, jak na to ze wszech miar zasługiwał.

A „tymczasem (była to) postać jedyna z najpiękniejszych swojego czasu” — jak pisze o nim J. I. Kraszewski w swych „Wieczorach wołyńskich” — poświęcając wspomnieniu jego najpiękniejsze karty swej pracy — „ten potomek hetmański, który oręż złożywszy do pochew, starał się w nowej sferze coś dla kraju uczynić i przodkować życiu nowemu...” — który „wokół siebie rozlewał i dawał życie, budził do roboty, pomagał, zachęcał, przykładem działał...”.

Dzielny i bitny żołnierz, znany literat, trochę polityk, historyk i podróżnik, oddający się zgodnie z modą ówczesnych czasów paru różnym zawodom, pracom i zajęciom, był Chodkiewicz jednak przede wszystkim naukowcem-chemikiem z powołania, zamiłowania i wykształcenia i na tym też polu najchlubniej się odznaczył i zasłużył.

Wbrew nader pochlebnemu zdaniu Kazimierza Brodzińskiego, wyrażonemu w „Liście poetyckim do Aleksandra hrabiego Chodkiewicza”, literatem był raczej miernym. Publiczność mówiła o jego tragedii „Katon z Utyki”, że „Katon utyka”, zaś tragedię „Teonę” nazwał aktor Żółkowski, nie zrównany żartowniś i dowcipniś swego czasu, tragedią chemiczną, bo tyle w niej — według niego — było kwasów i gazów, że publiczność i aktorzy mogli dostać zawrotu głowy. Ale za to w naukach chemiczno-fizycznych był prawdziwym autorytetem i powagą. Jego siedmiotomowa „Chemia” przez dzisiejszą naukę nawet traktowana, jest z uznaniem, w swej wspaniale urządzonej pracowni, zaopatrzonej w najnowsze przyrządy i aparaty, a dostępnej dla wszystkich, którzy się tą gałęzią wiedzy interesowali, przeprowadzał samodzielne badania, próby i doświadczenia, dochodząc nieraz do bardzo ciekawych

wyników i odkryć, o których komunikował zawsze Towarzystwu Przyjaciół Nauk, którego był członkiem. Założył też u siebie pierwszą w Polsce litografię i interesując się równie żywo jak stroną teoretyczną i technologiczną chemii, z której to dziedziny pozostawił pokazną ilość cennych prac i przyczynków, wiele wysiłków i starań poświęcił udoskonaleniu tuszu i papieru do litografii i zastąpieniu zagranicznego ich wyrobu krajowym itd.

Praca jego była ciągła, wytrwała, planowa.

Taka była od początku i taką pozostała do ostatnich niemal dni życia...

Mimo to opinia publiczna — uparta i kapryśna, jak kobieta, a łaskawa tylko dla swych ulubieńców, we wszystkich jego najszlachetniejszych poczynaniach i najbardziej wyjątkowych wysiłkach — widziała tylko przejściowy kaprys, fantazję i zabawę wielkiego pana...

I nie mogąc go pozbawić szacunku ogółu, ani przyjaźni i podziwu szczupłego koła wybranych — pozostała przecie niezmienną i nieprzejednaną do końca...

**

Po powrocie z Ameryki zajął Niemcewicz od razu bardzo wydatne miejsce w świecie literackim Warszawy, nadając ton i kierunek całemu towarzystwu. Oceniał chlubnie postęp i zmiany, jakie zaszły na niwie literackiej, w czasie jego długoletniej nieobecności w kraju, „cieszył się... na widok tylu młodych talentów, a zwłaszcza tego zapału, z którym ucieńsi rodacy rzucili się do obrony mowy rodzinnej i rozkrzewiania nauk” i sam ze swej strony nie szczędził sił, ni pracy, by przyczynić się jak najbardziej do podniesienia twórczości narodowej i przybliżyć ją do prądów, z którymi sam zapoznał się i przejął od wczesnej młodości. Zwłaszcza jednak uderzał go i raził przykro zupełny brak krytyki literackiej i z całą energią starał się lukę tę wypełnić, werbując kogo się tylko dało z najbardziej zasłużonych gwiazd na polu piśmiennictwa do podjęcia pracy na tej tak zaniedbanej u nas placówce. Tu jednak spotkał go zawód na całej linii, wszystkie bowiem namowy, perswazyje i zachęty odbijały się, niby o skałę, o twarde zdecydowany opór współziomków. Na próżno wysiłał swą wymowę, wykazując na podstawie przykładów z obcej literatury użyteczność i zbawienne skutki dobrze postawionej i odpowiednio pojętej krytyki, która przyczyniłaby się znakomicie do ułatwienia orientacji i wskazania drogi i kierunku licznym rzeszom „pielgrzymującym do muzeum świątyni”. Nikt nie chciał się podjąć zadania, nikt nie uważał się za u-

zdolionego i powołanego do wytykania innym ich błędów, niedociągnięć i usterek, zastanawiając się rzekomo obawą, by niewczesną krytyką nie zniechęcać młodych autorów do pracy, by nie „przytłumiać twórczego płomienia, który dopiero iskrzyć się zaczynał... i nie zabijać w narodzie wykluwających się talentów”, w rzeczywistości zaś powodując się małoduszną obawą i drażliwością nadmierną, by samych siebie przed krytyką osłonić.

„Nikt nie chciał sądzić, aby nie być sądzonym”, ocenia Morawski po swemu — krótko i trafnie całą sytuację.

Wtedy to właśnie, kiedy pokonany Niemcewicz zdawał się ostatecznie zrezygnować i wycofywać z bezowocnej, jak się okazało, walki, nagle i niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba pojawiła się w jednym z pism warszawskich najzjadliwsza, najbardziej złośliwa krytyka, wymierzona przeciwko jego własnym działom.

Bezimienny pismak, przeczuwając snąć, jaką burzę ściągnie na swą głowę, nie tylko nie podpisał krytyki nazwiskiem, lecz zastrzegł sobie również najściślejszą tajemnicę w redakcji. Niegodziwy, prawdziwie oburzający to był artykuł w swej treści i intencjach, niemniej przeto nieuprzedzony, bezstronny czytelnik nie mógł odmówić nieznanemu autorowi pełnego werwy zacięcia, wnikliwości i „wyższego sądu”, co wszystko razem biorąc zdradzało pióro biegłe, dokładnie obeznane z „literackim rzemiosłem”, utalentowane i... nader złośliwe. Nie mógł mu też, niestety, odmówić pewnej przynajmniej prawdy i słuszności w podniesionych zarzutach...

Tak więc z niezwykłą spostrzegawczością i dowcipem podchwycił i powyciągał na światło dzienne wszystkie osobiste śmieszności Niemcewicza, jakoteż i niedbalstwa i niedociągnięcia w pracy i dziełach, zwłaszcza gorąco występując przeciwko najczęstszemu wymówkom poety, że „umysł skołatany tyłu klęskami, więzieniem, wygnaniem i utratą ojczyzny, nie da mu tak wydoskonalić płodów jego, jakby należało”, co uważał autor za nader wygodne „dla lenistwa ekzuzji i z całą wyszydził je złością”.

Oburzenie społeczeństwa za tę bezwstydną napaść na otoczonego powszechną cziłą i miłością męża nie miało granic. „Zdawało się, że cały naród polski obrażono w jego ukochanym wieszczu, wzorowym patriotcie”. Puszczono w ruch wszystkie stosunki, poruszono wszelkie sprężyny, by odkryć niegodnego pismaka, zerwać anonimową maskę, pod którą się krył tchórzliwie, usiłowania te wszakże pozostały najzupełniej bez-

owocne. Mimo najbardziej wyjątkowych starań, najgorliwiej prowadzonych poszukiwań, nie zdołano natrafić na najmniejszy ślad „anonima”, na najlżejszy bodaj cień podejrzenia, choć wszystko wskazywało na to, że musiał być osobistością dobrze wszystkim znaną, najściślej obeznaną z wewnętrznymi stosunkami warszawskiego świata literackiego... kimś spośród nich, słowem... kimś z najbliższego koła...

Najbardziej gorliwego i zapalczywego obrońcę znalazł znieważony, „na miazgę zdeptyany” Niemcewicz, w Aleksandrze Chodkiewiczu, w którym „uczoność nie oziębiła serca”, tego serca szlachetnego, gorąco czującego i wrażliwego na każdą niezasłużoną krzywdę ludzką, choć sam tyłu krzywd w życiu doznał, a nie znającego, co to niechęć i zawiść.

„Kozzalenie jego” — według relacji generała Morawskiego, za którą tu idziemy — „było bez granic, a gniewne uniesienie tak wielkie, — śmierć z krytykiem bić się postanowił”.

Ponieważ jednak nie zanościło się jakoś wcale na to, by autor anonimowego artykułu został odkryty i zdemaskowany, musiał Chodkiewicz z wielkim żalem zrezygnować na razie z walki, znajdując inny sposób wynagrodzenia Niemcewiczowi jego krzywdy i publicznej zniewagi.

Oto zebrałszy najznakomitszych mężów stolicy, przedstawicieli świata literackiego i naukowego, wszystko słowem, co tylko Warszawa posiadała najdosłowniej, szlachetnego i wślawionego zasługą w swych murach, stanął na czele delegacji, prowadząc ją do Niemcewicza z wyrazami czci i hołdu dla sędziwego autora „Śpiewów historycznych”, a oburzenia i potępienia dla nieszczęsnego potwarcy.

Niemcewicz przyjął ten akt zadośćuczynienia i uznania, wskazujący mu wyraźnie, jak bardzo kochany i ceniony był przez cały naród, z widocznym wzruszeniem i wdzięcznością. Głęboki smutek rozlany na jego szlachetnym obliczu, poruszył wszystkich do łez. Patrząc na niego uczuli, że zapał i gorącość Chodkiewicza i im się udziela, że wszyscy w obronie honoru i czci tego siwołosego starca walczyć są gotowi. „Z większym więc jeszcze żalem oznajmiają mu swój udział w jego słusznym oburzeniu, pocieszają go przygotowanymi ku temu mowami, unosząc się nad jego tak rozliczną zasługą, pełnym potokiem łez leje się ich boleść, lzy już dalej mówić bronią...” a Niemcewicz patrzył i słuchał w milczeniu, przejęty, jak się zdawało do głębi i sam płaczu bliski.

Wreszcie po wysłuchaniu wszystkich oracji, przyszła na niego kolej zabrania głosu. Wyraziwszy raz jeszcze czcigodnym przedstawicielom społeczeństwa wdzięczność za ich intencje, oznajmił im poeta z ubolewaniem, że niegodziwy sprawca całego zamieszania, nie ograniczając się do ogłoszenia artykułu drukiem, posunął swą złośliwość tak daleko, że mu swój rękopis — sam oryginał przysłał, niby na większe urąganie i pogwałcenie.

„Prawda”, mówił głosem wzbranym bólem, „że pisma moje pełne są błędów i niedbalstwa, lecz nie należało przy wypowiedzeniu prawdy więcej miary zachować w nagminie? Otworzyła mi oczy ta krytyka i widzę, że już nadal pisać nie należy. Któżby mnie odtąd chciał czytać?! Przebaczenie, że mam tyle nudził!”.

Na tę nieoczekiwaną nowinę wszyscy obecni wstrzymali dech z zanie-

Kuria Administracji Apostolskiej
w Gorzowie Wlkp.

Otwarcie Małego Seminarium Duchownego
w Słupsku

Z dniem 1 września b. r. otwiera się w Słupsku Małe Seminarium Duchowne. Młodzieńcy pragnący poświęcić się służbie Bożej jako kapłani świeccy na terenie Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej mogą nadsyłać podania o przyjęcie do Kurii Admini-

stracji Apostolskiej w Gorzowie, ul. Łokietka 16.

Przyjmuje się chłopców z ukończoną przynajmniej siódmą klasą szkoły powszechnej lub jakąkolwiek klasą gimnazjalną albo licealną.

Do zgłoszenia należy dołączyć:

- 1) dokładny życiorys,
- 2) ostatnie świadectwo szkolne,
- 3) świadectwo moralności od ks. proboszcza,
- 4) świadectwo lekarskie,
- 5) 2 fotografie.

ny ślad, na jaki natrafiono po tylu żmudnych poszukiwaniach. niezbity dowód autorstwa i winy. Gdybyż go dostała w ręce, a cała zagadka wyłaśni się od razu.

Gdzie jest ten oryginał, gdzie? — woła rozjadły Chodkiewicz — „niech wiemy, kto nas wszystkich skrzywdził w Niemcewiczul”.

„Oto jest” — rzecze Niemcewicz i zawym glosem, podając papier leżący na stole.

Rzucili się na niego wszyscy w tryumfie, niby po ceną i upragnioną zdobycz. Wyciągnęli się po niego wszystkie dłonie, chciwie, ciekawie...

z zapamiętaniem, zaledwie wszakże rzucili nań okiem, osłupieli z zadziwienia, nie wiedząc, co o tym wszystkim myślą mają.

Bo też było się czemu dziwić i nad czym sobie głowę łamać. Nie było wszak nikogo, kto by w podsunętym przed oczy rękopisie nie poznał ręki samego „pana Niemcewicza”.

W ogólnej, pełnej konsternacji i niedomówień ciszy zabrał głos sędziwy autor „Śpiewów historycznych”.

„Tak jest, moja to ręka. Przepraszam za wybieg. Sam napisałem na siebie (artykuł) dla dania przykładu,

jak najjadliwszą nawet krytykę dla dobrej literatury znieść należy”.

Jeśli po wygłoszeniu tej przemowy i tak niespodziewanym odkryciu autora „niegodziwego anonimu”, zniknął od razu, niby śnieg słońcem wiosennym przygrzany, cały udany smutek i przygnębienie Niemcewicza i on sam wydawał się wiele zadowolony z siebie i swego konceptu — to zupełnie inaczej — całkiem nieswojo i niewyraźnie zapewne — musieli się czuć członkowie delegacji, a już najgorzej oczywiście sam inicjator i sprawca całego zamierzenia, który najżywiej się przyczynił do po-

ruszenia społeczeństwa i który też najwięcej krewkości, zapalczywości i... serca okazał w całej sprawie, a teraz w nagrodę za to znalazł się nagle w niewdzięcznym położeniu Don Kichota, podejmującego zagorzałą walkę z... wiatrakami.

Raz jeszcze sprawdziło się na nim przysłowie, że od wzniosłości do śmieszności dzieli człowieka tylko jeden — niewielki krok.

Skończyło się wreszcie wszystko na śmiechu, ogólnej radości i zgodzie.

Niemcewicz święcił odtąd jeszcze większe tryumfy, jeszcze bardziej czczony i wielbiony przez wszystkich.

Cała śmieszność zaś przypadła w udziałie niefortunnemu Chodkiewiczowi.

Oto jak opisuje Morawski zakończenie tej zabawnej przygody:

„Rozpogodzone oblicze autora i śmiech jego serdeczny rozweselił wszystkich. Cieszono się z omyłki, wieść o dowcipnej mistyfikacji rozbiegła się po całej Warszawie — śmiano się z pocziwego Chodkiewicza, ścigano go złośliwymi epigramatami, których jednakże nie umiał znieść tak spokojnie, jak go piękny Niemcewicz nauczył przykład...”.

Wanda Kieszowska

Z zagadnień gospodarczych

Śladami Hitlera

Wojna nerwów

Silą przyzwyczajenia, a głównie wskutek stosunkowo słabej orientacji w stosunkach panujących w Ameryce Południowej, małą przywiązujemy wagę — w naszych przewidywaniach na tematy ewolucji wydarzeń światowych — do licznych państw tego lądu.

Objaw, całkowicie zresztą zrozumiały, ponieważ nawet w Stanach Zjednoczonych republiki Ameryki Łacińskiej są — jak to Francuzi nazywają — „des républiques de bananes” nieprzestawiającymi poważniejszego znaczenia.

Pogląd ten jest jednakże już dzisiaj z gruntu fałszywy, przynajmniej jeśli o Brazylię, a szczególnie jeśli o Argentynę chodzi.

Argentyna. — Ciekawe procesy przechodzi obecnie to państwo. Warto się im przyjrzeć.

W pierwszym rządzie zdać sobie sprawę należy, że ze wszystkich państw Ameryki Południowej najwięcej Argentyna skorzystała na wojnie. Rozwinęła się gospodarczo oraz znacznie się wzbogaciła.

Peron, w jednej osobie prezydent i dyktator Argentyny jest obecnie w trakcie modyfikowania ustroju państwa pod względem socjalnym i ekonomicznym. Program ujęty jest w ramy planu pięcioletniego obejmującego (1) reformy polityczne, (2) reformy socjalne oraz (3) wytyczne ekonomiczne.

Koszty realizacji planu wyniosą około 11 miliard 665 milionów dolarów. Suma wcale duża jak na warunki Ameryki Płd., tymbardziej, że nie jest nią objęty budżet ściśle wojskowy, który jest tajny. Zarówno o jego rozmiarach jak i sposobach uzyskania potrzebnych środków finansowych decyduje Peron, którego władza w tej dziedzinie jest całkowicie dyskrecjonalna.

Pod kątem widzenia wzmocnienia militarnego kraju został potraktowany w planie rozwój przemysłu, a przede wszystkim uwzględnione w nim zostały dezcyderaty sztabu głównego, a mianowicie:

- 1) budowa nowych fabryk broni, które uniezależnią Argentynę od zagranicy w ekwipowaniu armii,
- 2) na szeroką skalę zakrojony program robót publicznych (budowa dróg podyktowanych względami strategicznymi oraz rozbudowa portów),
- 3) objęcie kontrolą państwa wszystkich środków transportowych,
- 4) modernizacja sił zbrojnych,
- 5) rozwój produkcji surowców krajowych,
- 6) organizacja kraju i ludności pod kątem widzenia obrony totalnej.

Wychowanie oraz wykształcenie młodzieży zostaje poddane bezpośredniej kontroli Perona. Widoczny jest tu wpływ metod faszystowskich np. młodzież w wieku od lat 12 do 20 obowiązana jest należeć do organizacji mających na celu

przygotowanie jej do służby wojskowej oraz zwiększenie tężyzny fizycznej. Wprowadzone zostało również dla dzieci od lat 12 obowiązkowe kształcenie z zakresu seksualnego, które ma się przyczynić do popierania przyrostu naturalnego. Obowiązkowe egzaminy z tej dziedziny zostały ostatnio zniesione pod presją Kościoła i opinii publicznej.

Poważne miejsce zajmuje w planie opieka społeczna (budowa szpitali, klinik itp.).

Szczególnie charakterystyczna jest część planu dotycząca Patagonii (południowa część Argentyny). Zostaje stwierdzone, że ze względu na swoje geograficzne położenie, Patagonia jest narażona ze strony dwóch oceanów na ataki ewentualnych nieprzyjaciół. Wskutek bardzo słabego zaludnienia (cała Argentyna liczy najwyżej 14 milionów mieszkańców) i odseparowania od reszty kraju stanowi dogodny obiekt dla „wzrzenia baz przez nieprzyjaciela mającego na widoku dalsze operacje agresywne. Zachodzi więc w pierwszym rządzie konieczność zwiększenia zaludnienia Patagonii zarówno przez Argentyńczyków jak i przez imigrantów z Europy. W związku z tym działają już w Europie misje werbunkowe imigrantów (np. wiosną b. r. udzielonych zostało między innymi 1500 wiz Polakom z byłego korpusu gen. Andersa).

Tego rodzaju ujęcie w planie zagadnienia. Patagonii wzbudza zrozumiałe zainteresowanie. Jakież bowiem tajemniczy nieprzyjaciel nie amerykański mógłby zaatakować ten kraj? Jedynie chyba Chilijczycy, którzy odkryli ostatnio duże złoża ropy w rejonie graniczącym z Patagonią. Bardziej jednak prawdopodobnym jest przypuszczenie, że to właśnie Peron nosi się z zaborczymi zamiarami w stosunku do południowej części Chile.

Peron wraz ze swoimi współpracownikami realizuje wytknięty program z zadziwiająco sprawnością. Liczne projekty zostały w czyn wprowadzone bez zwracania uwagi na reakcję zagranicy, a nawet przed nadaniem im formy ustawy.

Nie ulega kwestii, że realizacja planu przyczyni się do ekonomicznego rozwoju kraju. Jednakże nie bez dużych obaw odnieść się należy do militarnych motywów, które dominują w polityce gospodarczej rządu. Podobnie jak żaden rząd totalny, tak też i rząd Perona nie przyzna, że dążeniem jego jest wojna — może w istocie wojna nie jest jego celem (przynajmniej na najbliższą przyszłość). Niemniej system cały zawiera sam w sobie zamiary zaborcze w stosunku do sąsiadów. Sam w sobie prowadzić musi do wojny. Za dużo jest bowiem poświęcone uwagi w planie pięcioletnim zagadnieniom obrony narodowej i siły militarnej i zbyt silnie przypomina plan ten historię Niemiec w latach 1933 — 39.

(K)

Omawiając w tym dziale bieżące zagadnienia gospodarcze nie możemy pominąć sprawy tzw. planu Marshalla, sprawa ta bowiem ma naszym zdaniem przede wszystkim charakter gospodarczy. Zjawiska polityczne jakie mogą wyniknąć z takiego czy innego jej rozwiązania będą wtórnymi do zjawisk gospodarczych.

Wystąpienie Marshalla wbrew przyjętemu określeniu nie zasługuje w żadnym razie na nazwę planu t. zn. szczegółowo rozpracowanej koncepcji. Są to raczej pewne sugestie, ogólnikowe propozycje oraz jak to się mówi próbne balony.

Oderwijmy się jednak od samych oficjalnych sformułowań, które poza frazeologią nie są również wolne od pewnego stopnia naiwności politycznej i wnikiwny w istotę niniejszej sprawy.

Mamy dwie strony: Stany Zjednoczone i Europę.

Określając sytuację Stanów Zjednoczonych po wojnie należy dokonać następujących stwierdzeń:

1. Aparat produkcyjny Stanów Zjednoczonych osiągnął olbrzymią zdolność produkcyjną.
2. Przy pełnym wykorzystaniu tej zdolności kapitał osiąga (nienotowane dotychczas) zyski.
3. Kapitał w Stanach Zjednoczonych zapewnił sobie niezwykle korzystny dla siebie podział dochodu społecznego.
4. Kierownictwo życia gospodarczego i politycznego znajduje się bezpośrednio czy pośrednio w rękach kapitału.

Na tle powyższych stwierdzeń rysuje się jasno koncepcja gospodarcza Stanów Zjednoczonych zawałowana pieczołowicie w wystąpieniu Marshalla. Kapitał dążąc do wykorzystania pełnej zdolności produkcyjnej poszukuje rynków zbytu.

Nie chce zwiększyć wewnętrznego rynku zbytu, gdyż to wymagałoby zwiększenia siły nabywczej świata pracy, a zatem ograniczenia udziału kapitału w dochodzie społecznym. Poszukuje zatem rynków zbytu na zewnątrz. Europa jest rynkiem pożądanym, ze względu na olbrzymie potrzeby zarówno w zakresie dóbr inwestycyjnych jak i konsumpcyjnych. Jednakże na tym nie kończą się postulaty kapitału. Chodzi jeszcze o jakie ukształtowanie się struktury gospodarczej innych krajów, aby kraje te po okresie odbudowy nie zagroziły gospodarce Stanów Zjednoczonych. Stąd wynika postulat kontroli zarówno zużycia proponowanych kredytów, jak i całego życia gospodarczego i politycznego kredytobiorców. Oto stanowisko jednej strony: Stanów Zjednoczonych.

Stanowisko Europy można ująć następująco:

1. Bieżące potrzeby konsumpcyjne, konieczność powojennej odbudowy

oraz konieczność modernizacji przemysłowej i rolniczej produkcji wymagają olbrzymiej pomocy Stanów Zjednoczonych.

2. Europa jest skłonna płacić za udzieloną pomoc w formie eksportu towarowego narastającego w miarę dokonywanych inwestycji.

3. Europa dąży do takiej struktury gospodarczej, która jej zapewni maksymalne korzyści.

4. Europa nie życzy sobie ani zbyt daleko posuniętej kontroli gospodarczej ani politycznej.

Z powyższych sformułowań wynika jasno jak różne są stanowiska powyższych stron. Podkreślić poza tym należy, że eksport Europy do Stanów Zjednoczonych artykułów produkowanych w Stanach spowodowałby spadek cen tych artykułów, a zatem spadek zysków kapitału, co jest równoznaczne ze zmniejszeniem jego udziału w dochodzie społecznym.

Jakież w tym stanie rzeczy istnieją perspektywy uzgodnienia stanowisk. Kto, kiedy i w jakim zakresie ustąpi?

Powyżej podane zasady są wprowadzone podzielane przez wszystkie kraje europejskie zarówno wschodnie jak i zachodnie, jednakże postawa poszczególnych krajów wobec Stanów Zjednoczonych jest różna. Pod tym względem trzeba odróżnić dwie grupy. Kraje zachodnie - europejskie łącznie z Niemcami tworzą grupę pierwszą. Grupa ta wykazuje mimo pewnych oporów coraz większą uległość wobec postulatów Stanów Zjednoczonych. Jest to wynikiem w krajach takich jak Francja czy nawet Anglia braku sił psychicznych na pewne przetrzymanie partnera co byłoby połączone z koniecznością obniżenia stopy życiowej. Natomiast kraje pokonane w ostatniej wojnie jak Niemcy czy Włochy widzą na

drodze chwilowego podporządkowania się Stanom możliwość odzyskania straconych na skutek klęski pozycji. Druga grupa to kraje Europy wschodniej przeważnie słowiańskie z Z. S. R. R. na czele, które potrzebując pomocy Stanów Zjednoczonych nie godzą się jednak na to, aby jej cenę stanowią utrata wolności gospodarczej i politycznej.

Pierwsza grupa, jak się wydaje wcześniej czy później przyjmie postulaty Stanów Zjednoczonych. Druga będzie w dużym stopniu nieustępliwa.

Czy jednak pozytywne stanowisko zachodniej Europy rozwiąże problem rynków zbytu dla Stanów Zjednoczonych. Tylko częściowo. Kluczem do rozwiązania tego problemu leży w Europie wschodniej, a przede wszystkim w olbrzymim rynku jaki stanowi Związek Radziecki.

W tym stanie rzeczy wydaje się, że Stany Zjednoczone, a raczej kapitał będzie zmuszony zasadniczo zrewidować obecne stanowisko i to przede wszystkim w kierunku stworzenia warunków do bardziej sprawiedliwego podziału dochodu społecznego zarówno we własnym kraju jak i w rodzinie narodów.

Jeśliby rewizja taka nie nastąpiła Stany Zjednoczone nie uchronią się od straszliwej katastrofy kryzysu gospodarczego, którego konsekwencje sięgną daleko poza sferę życia gospodarczego.

Dla krajów Europy wschodniej odraczenie pomocy względnie współpracy gospodarczej ze Stanami Zjednoczonymi jest niewątpliwie uciążliwe. Jednakże kraje te wykazują, że na drodze wewnętrznej współpracy można istniejące trudności poważnie złagodzić. To pozwala na stworzenie warunków do przetrzymania kontrahenta dyktującego zbyt wysoką cenę.

ODBYWAJĄCY PIELGRZYMKĘ do CZĘSTOCHOWY

zakupują pamiątki i dewocjonalia

w kiosku

firmy „VERITAS”

na JARMARKU WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ

Świece Kościelne

sprzedaż w f-mie

»VERITAS«

Warszawa, Nowogrodzka 49

gmach Romy

lokal Warsz. Zw. „Caritas”.

Od Administracji

Zawiadamy, naszych P. T. prenumeratorów, że byliśmy zmuszeni podnieść cenę prenumeraty na zł 60.— miesięcznie, 180.— kwartalnie.

Pojedynczy numer kosztuje 20.— zł

Prosimy o wyrównanie różnicy ceny prenumerat do wysokości 60 złotych miesięcznie

Ghora wątroba, woreczek. Niezawodne środki, Mickiewicza 18a 5, dawniej: Długa 28

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku (z względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów).

LIST OTWARTY DO P. JAKIMIŁA W SPRAWIE ARTYKUŁU „TRAFNA SAMOCENA”

Wielce Szanowny Panie, artykuł Pana w nr. 30 „Dziś i Jutro”, w którym Pan zarzuca mi, że fałszywie interpretuję słowa z Pisma Świętego, wymaga natychmiastowej odpowiedzi, chociażby dlatego, że będzie Pan miał okazję przeczytania jakiegось mojego utworu do końca, chociaż jak Pan twierdzi, nigdy się do Pana jeszcze nie zdarzyło! — Otóż, znakomitemu Pańskiemu utworowi brakuje zupełnie logiki, co Panu zaraz czarno na białym wykaże. Zarzuca Pan mi to, ubóstwo ducha, ale jednocześnie uważa Pan to ubóstwo za najwyższy stopień wyrobienia duchowego, cytując tak wielkich panów jak św. Tomasz z Akwinu, Mendel i Pasteur, którzy według Pańskich słów uważali się za „ubogich w duchu”. Oto Pańskie słowa: „Każdy z nich uważał swój obrzydliwy dorobek umysłowy za ubóstwo w porównaniu z tym, co jeszcze do poznania pozostaje. Ubodzy duchem.

Podaję, że nie dzięki („nie” wplątało się chyba niepotrzebnie) temu to usposobieniu ducha mogli aż tyle osiągnąć, i — będąc wobec świata bogaczami — mieć przeświadczenie o swym ubóstwie i wskutek tego przejść jednak do Królestwa Niebieskiego. Drogi Panie, jeżeli mam w mym „ubóstwie” być w tak znanym towarzystwie, to z entuzjazmem podpisuję się pod Pańskimi zarzutami, które są dla mnie niezmiernie pochlebne.

W drugiej części Pańskiego artykułu płacze się Pan najzupełniej w swoich tłumaczeniach słów Chrystusowych. Oto wyjątek z nich: „Wszelako należy pamiętać, że kazanie na Górze nie było skierowane do inteligencji, t.j. współczesnych faryzeuszów, saduceuszów, biegłych w piśmie, skrybów etc. — To nie oni chodzili tłumami za Chrystusem. Często o głodzie, w niespaniu, w niewczasie (w „niewczasie”, to znaczy nie mieli tak zwanych obecnie „wczasów”? ale przepraszam — kto? Faryzeusz? — Albo tu korekta szwankuje, albo styl wielce „biegłego w Piśmie” — ale nie w pisaniu, autora.) — „Naokoło Chrystusa — pisze dalej autor — siedział prosty lud” — (czy również w „niewczasie”? — Tere-ferere-ferere, a potem znów ważne słowa: „Oni to (lud) są i powinni być przede wszystkim ubogimi w duchu. — Cóżby to było, gdyby nie chcieli być takimi? Chłop i robotnik w całej masie nie chciały pracować, a e rządzić. Zapanowałyby anarchia, wiodąca do zguby społeczeństwo. Tymczasem jednak lud jest ubogim w duchu mimo wszelkich zdobyczy oświaty i kultury.” — Czyli, że Pan zgadza się ze mną, że „ubóstwo duchowe”, to jednak pewien rodzaj „powiedźmy nieoświecenia!... Teraz dlaczego Pan mi chce w tych różnych rodzajach ubóstwa duchowego dać pozycję wyjątkową „a part” — jak Pan pisze? Czy boi się Pan, że bęym po Pańskim artykule nie ubzdurała sobie, że jestem Voltaiorem lub Pasteurem? — O „ubogim duchem” pisze Pan jeszcze następujące słowa: „Słucha nauczyciela i inteligenta mimo, że nieraz go przerasta znajomością życia...” słucha, bo ubogi w duchu zawsze może się czegoś nauczyć i od najgłupszego, dzięki swojej pokornej postawie...” — To właśnie mój wypadek — przyznaję się, że jestem ubogą duchem i w pokornej postawie dziękuję za otrzymaną lekcję!

Magdalena Samozwaniec

Szanowny Panie Redaktorze!

Liberalizm z jakim Pan drukuje listy czytelników, ośmiela i mnie do próby skorzystania z gościny na łamach poczytnego tygodnika pańskiego, mimo że opinia którą ośmielię się wyrazić jest sprzeczna z całą, jak dotąd prasą literacką, z „Dziś i Jutro” włącznie.

Wydaje mi się mianowicie, że przyznawanie wielkiej nagrody „Odrodzenia” Iwaszkiewiczowi, było pewnego rodzaju skandalem. Jeszcze większy skandal, — to tryumfalne

pochwały, jakie zbiera za swój wybór, sąd konkursowy.

Jako zwykły, szary czytelnik naszej literatury, doceniam w całej pełni mistrzostwo pióra Iwaszkiewicza. Obok Natkowskiej i Dąbrowskiej, Iwaszkiewicz jest już klasykiem polskiej prozy, w tym znaczeniu, że na tekstach jego, pisarze młodszych pokoleń uczyć się będą mogli jak po polsku pisać należy. Jak myśli swoje w skończonej pięknej formie ubrać. Ale to i wszystko.

Nie wydaje mi się właściwym nagradzanie pisarza jedynie za styl — skoro o tyle ważniejsze są myśli i hasła, w tak piękną szatę ubrane. Więc co, — zawoła p. Bartelski i inni sądowicze — więc myśl a nie formę chwalić należy? Bynajmniej. Zawód pisarza wymaga przede wszystkim talentu i znajomości swego rzemiosła pisarskiego. Kto pisać pięknie nie umie, ten wogóle pisarzem nie jest. To jasne. Ale skoro już wyodrębniliśmy grupę ludzi, którzy pisać umieją, to wyróżnienie między nimi przyspać winno nie temu, który talent posiada największy, ale temu, który dba i o treść, i o hasła, w usługi którym talent swój oddał. Utwory Iwaszkiewicza cechuje jakaś ponura, zawzięta, beznadzieiność. Doprawdy, ze wszystkich wyróżnionych pisarzy on właśnie jest tym, któremu ze względów wychowawczych najmniej rozpowszechnienia życzyć by należało.

Więc któż? Z pozostałych czterech nazwisk — Gólibiew, Malewska, Buczkowski i Pruszyński — odpada odrazu, moim zdaniem Buczkowski. Ten autor który dał nam niezrównany pod względem kolorytu lokalnego, fotograficzny reportaż pewnego wąskiego odcinka życia przedwojennego, pewnej nadzwyczaj charakterystycznej prowincji polskiej, jest jeszcze zbyt odległy, kunsztem pisarskim debiutantem, od reszty stawki, żeby mógł na serio konkurować. Z pozostałej trójki wybija się bezapelacyjnie Pruszyński, autor „Trzynastu Opowieści”, najlepszej, moim zdaniem książki, — wydanej u nas po drugiej wojnie światowej.

Wyróżnienie Pruszyńskiego byłoby, jak sądzę, postawiło jury bardzo wysoko, dając dowód sądu jasnego, niezachwianego przez jakiegokolwiek względy i urzędy, przyjaźnia czy antypatie. Wybór Gólibiewa czy Malewskiej miałyby charakter niejaki, neutralny. Nagroda dla Iwaszkiewicza i porządek w jakim wymienieni są pisarze wyróżnieni, wzbudza zdumienie, i mimo całej sympatii dla red. Kuryluka każę nam uważać jego imprezę konkursową za nieudaną.

Aleksander Bocheński,
Warszawa, 4 sierpnia 47.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Załączony list przekroczył wprawdzie przepisana długość, może jednak będziecie łaskawi wydrukować go w całości, lub przynajmniej bez większych skróceń, jako, że marksista na Waszych łamach jest gościem raczej rzadkim.

A poza tym zechciejcie uwzględnić, że „niezależny” marksista — oby ich było coraz więcej — jest w dzisiejszej Polsce stworem zgola nieszczęśliwym.

Z prawdziwym szacunkiem
(—) W. Mańkowski

Bywała chwila w życiu bezwyznaniowca i marksisty, że go jasna krew zalewa i szewska ponosi pasja, kiedy zdarzy mu się przeczytać, co pewni pisarze „katolicycy” podają jako strasę duchową czytelnikom pism katolickich.

Taką chwilę przeżyłem, niżej podpisany, czytając „Przełamanie Sceptycyzmu” Ob. Leona Brodowskiego („Dziś i Jutro” Nr. 27).

Nie chodzi nam tutaj o słabą znajomość marksizmu jaką wykazuje autor pisząc n.p. „ze komunizm... neguje wszelką (?) tradycję”. Należałoby wyjaśnić jaką tradycję? Niewolnictwo miało tradycje tysiącletnie zanim zastąpione zostało pracą nalemą, nowoczesne formy produkcji i wymiany towarów mają tradycje stosunkowo niedawne, a Manifest Komunistyczny tradycję akurat 100-letnią. Ale nie o to nam teraz chodzi.

Chodzi nam o zasadniczy ton całego artykułu, ton z gruntu fałszywy. Fałsz polega na naginaniu uniwersalistycznych, powszechnych (t.j. katolickich, ob. Brodowski) założeń i celów do potrzeb partykularystycznych, „narodowych”. Fałsz ten odczuwa każdy szczerzy katolik, każdy uczciwy marksista. Nie na darmo wielu marksistów i katolików wspólnie krew przelewało w niejednej już wspólnej walce, bo wspólne są ich cele uniwersalistyczne. Wspólne potępienie wyzysku człowieka przez człowieka i wspólne dążenie do pojednania międzynarodowego — choć różne są ich drogi i metody. Wspólnego mają wroga: jest nim partykularizm, samowolny interes osobisty i sobiepański interes narodowy, szowinizm narodowy, faszyzm.

Ob. Brodowski pisze w największej pogodzie ducha: „...katolicy posiadają tak piękny dogmat o świętych obcowaniu powinni być... apostołami łączności wszystkich pokoleń Polaków...”

Gdzież, kiedy, jaki katolik interpretował „Credo” w sposób tak „narodowy”? A coż pocnie ob. Brodowski, jeżeli katolicy niemieccy, powołując się na jego przykład i naukę, urządzią sobie tuż o miedzę „świète obcowanie wszystkich pokoleń Niemców”?

„Na Ziemiach Odzyskanych wśród wrochów ojców naszych”, pisze dalej rozmodlony autor, „możemy się poczuć jednością ze wszystkimi duchami nieśmiertelnymi”. A coż pocnie nasz wędrowiec, jeżeli natknie się w swojej pielgrzymce na duchy Anioła Słazaka i Jakóba Boehmego?

„Blut und Boden” nie było, nie będzie i w ogóle być nie może nigdy hasłem polskich katolików i polskich marksistów — ale ich wspólnymi ideałami były i będą hasła braterstwa wszystkich narodów, przewyżcześnie odwiecznych przeciwieństw, znalezienie wyjścia z dzisiejszego impasu w stosunkach międzynarodowych — nigdy zaś przez starce i reakcyjne rozpamiętywanie „doświadczeń” przeszłości, „lekcji” historii.

Uczciwych marksistów i szczerych katolików łączy to przede wszystkim, że jedni i drudzy są ludźmi wielkiej wiary i nieustannej walki, że trwać będą przy swoich przekonaniach i ideałach pomimo wszystko, w latach chudych i latach tłustych, naprzekór wszelkim koniunkturom, naprzekór największym siłom świata i naprzekór wszystkim ludziom „realnym”. Marksisci i katolicy tego typu uważać będą, że poświęcenie się jednostki dla dobra sprawy rozumie się samo przez się, że o tym gadać wiele nie warto.

Prawdziwy katolik zżymać się będzie z oburzenia, kiedy przeczyta pod piórem autora „katolickiego”: „Wielu Polaków mniama... że rozkwit wewnętrznej życia religijnego wymaga zwolnienia ludzi od kłopotów materialnych. „Dla kogoż Pan pisze, Ob. Brodowski? I na dobitkę, o szpalte obok, dobijasz nas waćpan werselem z Ewangelii! I to jakim werselem! Te słowa Zbiwiciela gotowe jeszcze powrócić do Was z impetem, jak bumerang, niewprawną rzucony ręką, i wybić potężnego guza na czcigodnym czole... Bo, z pełnym Waszym przeproszeniem, widać Obywatelu żeście uczeni w literaturze Pisma, ale nie pojęliście jego ducha nic a nic. Zeby też choć coś! Ale właśnie, że nic a nic.

A radykalny marksista będzie w pełni sympatyzował z każdym wybuchem świętego oburzenia u bezkompromisowego katolika — tak mało mamy sprzymierzeńców na tym padole koniunkturalnych katolików i koniunkturalnych marksistów.

Rozumiem Was dobrze, nazbyt dobrze, panowie koniunkturaliści, którzy niesłusznie uważacie się za „realistów”. Przecież każdy z nas, w Polsce i w Europie, jest diabelnie wzmęczonej (zwłaszcza wszyscy ci po dwóch wojnach) i chciałby raz wreszcie trochę odpasać, jeszcze źdźbko nacieszyć się życiem. Jednak trwałego pokoju nie zbudujemy, nie przewyciężymy zniszczeń wojennych materialnych i moralnych, jeżeli nie zdobędziemy się na największy wysiłek wytrwałości, wierności, naszym zasadom, aby przybliżyć realizację tego, czego wszyscy oczekują i co nam ciągle się wymyka — międzynarodowy i ponad narodową jedność europejskiego świata. Bo jeśli popuścimy, to czeka nas znowu „zawieszenie broni”, jak w Wersalu.

Powiedział kiedyś — zdaje się Bjoernson — że Pan Bóg tych tylko przyjmie do swej chwały, którzy do końca życia wytrwają w atężmie. I chyba także między innymi r o d o w y c h marksistów i powszechnych, p o n a d n a r o d o -

w y c h katolików, którzy trwać będą do końca w walce o wspólnotę ludzkości, przeciwstawiając się z całym wysiłkiem egoizmowi narodowemu, neofaszyzmowi, który dziś panoszy się u nas pod hasłami marksizmu i katolicyzmu.

Wacław Mankowski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Pisząc przed kilku tygodniami artykuł pt. „Na marginesie wspomnień i opinii” („Dziś i Jutro” nr 23) nie przypuszczałem, że w ciągu tak krótkiego czasu okoliczności zmuszą mnie do powtórnego poruszenia tego samego przykrego tematu. Co dziwniejsze, że materiału dostarczyły mi tym razem już nie środowiska emigracyjne, a po prostu słynący z rozsądku i umiarkowania obywatele Krakowa. Otóż bawiący ostatnio na gościnnych występach w Warszawie krakowski teatrzyk „Siedem kotów” wysawia rewiię pt. „Siedem śmiechów głównych”. Ponieważ brak czasu i większego zainteresowania dla „twórczości kabaretowej” wstrzymuję mnie od opracowania szczegółowej recenzji z całego widowiska, ograniczam się do omówienia jednej wyjątkowo sceny sprawiającej wyjątkowo przykre wrażenie.

Chodzi mi mianowicie o fragment zaitytułowany „Śmierć Marata”. Pomijam przy tym nasuwającą się nieodpatnie uwagę, że są w historii pewne postacie i fakty, których żadną miarą w krzywym zwierciadle ukazywać nie należy. Do takich postaci zaliczam również Karolinę Corday i Marata. W scenie „Śmierć Marata” teatrzyk pozwolił sobie poza tym na nader niesmaczny wybrak, mianowicie w pewnym momencie chór kilku głosów śpiewa za sceną Marsyliankę.

Tak, hymn obcego i do tego zaprzyjaźnionego państwa rozbrzmiewa w kabarecie! Widocznie jednak wszystko jest w porządku, skoro nikt dotąd się nie oburzył. Ciekaw jednak jestem jak zareagowałyby doskonale bawiąca się w „Siedmiu kotach” publiczność, jak również pp. reżyser, kierownicy — literacki i muzyczny oraz aktorzy, gdyby tak w Casino de Paris czy Folies Bergères rozległy się dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła”. Sądzę, że dalsze komentarze są zbędne. Jeszcze raz święta triumf nasze tradycje podtrzymywania przyjaźni kulturalnej z Francją.

Łączę wyrazić poważania
Jerzy A. Górski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Przeczytałem w numerze 28 (85) „Dziś i Jutro” w rubryce „Czytelnik uważa że...” uwagi kol. Kornelii Szymańskiej, sodaliskiej z Tarnowa. Jednocześnie sodaliskim i dlatego uważam te czytanie z zainteresowaniem, ale i ze zdziwieniem. Przede wszystkim stwierdzić należy, że nasza dzisiejsza rzeczywistość jest o wiele gorsza niż przedstawia Koleżanka. Gniebna nas nie tylko straty materialne i częściowy zanik cnót obywatelskich. Jest szereg innych klęsk, jeszcze może groźniejszych, jak alkoholizm, choroby weneryczne, dzieciobójstwo, niewiara i gorsza od niewiary obojętność religijna, egoizm i przemoc, brutalna chęć użycia, oszustwa, kradzieże, mordy. W celu zwalczania tego stanu rzeczy Koleżanka proponuje następujący program działania dla Sodalicji Mariańskiej: Niech każdy członek S. M. wypełnia ściśle 10 Przykazań i spełnia ofiarnie swoje obowiązki z myślą o Bogu i Ojczyźnie. Program to minimalny i dla katolika niewystarczający. Dekalog zawierający same niemal zakazy wystarczał w Starym Zakonie, ale Chrystus dał przykazania pozytywne, powiedział „Bądźcie doskonałi”; czasy zaś dzisiejsze wymagają od katolika szczególnej doskonałości. Powinna to być jasno uświadomić właśnie Sodalicia Mariańska. Nie bójmy się powiedzieć że celem naszym jest nie o inne, tylko świętość, świętość w stylu św. Pawła, św. Katarzyny ze Sieny, św. Franciszka z Asyżu, św. Wojciecha, Brata Alberta, Antoniego z Heura, Piotra Frascati i innych, którzy gwałtem porwali Królestwo Niebieskie.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus wyjawia w „Dziejach Duszy” że już w dzieciństwie pragnęła zostać świętą. Została nią rzeczywiście, bo Bóg wspiera walkie i czyste zamiary. Pomóżcie mi, tylko nie lekajmy się szerokiego spojrzenia i rozmachu. Każda świętość jest miła Bogu i godna czci, ale każda inna i odpowiednia do innych okoliczności.

Na dziś potrzeba świętości apostołskiej, zdobywczej, pokornej wobec Boga, lecz zuchwałej wobec swia-

ta, która nie chowa się w zacisze lecz wchodzi w wir życia i przekształca to życie na modłę Chrystusową.

Współczesny święty nie będzie oczekiwał od władzy, od powodzenia, od błyszczenia, bo on to wszystko zużyje dla przywrócenia porządku bożego na ziemi.

Przykładem aktywności, dynamizmu w działaniu doczesnym służyć nam może młodzież socjalistyczna: OMTUR, ZWM. Jeśli młodzież katolicka nie wytworzy podobnie aktywnej postawy, to nie może liczyć na zwycięstwo swej idei. Nie wystarczy samemu realizować Dekalog; trzeba być świętym, a z Dziesięciorgiem przykazań wyjąć naprzeciw współczesnym bawochowalcom i zdobywać ich dla Prawdy. Droga do tej zdobyczy jest działalnością prowadzi przez intensywne rozwijanie swych władz przyrodzonych (umysł, wola, sprawność fizyczna), przez codzienną lub przynajmniej tygodniową Komunię św., przez głębokie życie wewnętrzne, modlitwę, współpracę woli z Łaską.

A na czym ma polegać sama działalność?

Przede wszystkim tak mamy na codzień postępować, żeby stanowić zachęcający do naśladowania wzór życia z przekonania i z eznu katolickiego, ale to dopiero początek. Trzeba tak nad sobą pracować, żeby w każdym środowisku, w każdej gromadzie być jednostką wybitną, której wpływowi będą wszyscy ulegać; trzeba, gdzie to możliwe, ujmować w swe ręce ster życia gromadnego i wszystkie doczesne możliwości zużytkować dla chwały Boga, dobra bliźnich, Polski. Nikt nie może powiedzieć że jest do tego niezdolny, bo jeśli nawet ktoś nie posiada walorów ewentualnych, to pracując wytrwale nad sobą osiągnie przy bożej pomocy taki poziom wyrobienia wewnętrznego, który zapewni mu apostołski wpływ na otoczenie. Dopiero wtedy gdy z takich ludzi składać się będą zeregi Sodalicji Mariańskiej, wkład jej w budowę nowej, lepszej rzeczywistości będzie wartościowy i wielki.

Marciszewski Witold
Sodalisk Marianus

DO REDAKCJI DZIŚ I JUTRO

W Nr. 197 „Dziennika Polskiego” (z dn. 22 lipca 47 r.), umieszczono wzmiankę p. t. „Studia wyższe, udostępnione dla robotników i chłopów”. W notatce tej mówi się dosłownie: „W Min. Oświaty odbywa się konferencja... poświęcona sprawie przyjęcia na pierwszy rok studiów do wyższych zakładów naukowych. Na konferencji poinformowano obecnych, że... przy dziekanatach w miastach uniwersyteckich powołano będą specjalne komisje... Zadaniem tych komisji będzie dbałość o zapewnienie istnienia robotniczej i chłopskiej młodzieży do nauki na wyższych uczelniach... Selekcji dokonywać będą rady zakładów, znające najlepiej młodzież pracującą pod względem uzdolnienia, jak i wyrobienia społecznego.

Komisje przy dziekanatach będą kierować w zależności od przygotowania naukowego i wyrobienia społecznego, Kandydatów na pierwszy rok studiów, jeśli są oni po maturze, na rok zaś wstępny, o ile ich wykształcenie przekracza zakres szkoły powszechnej, wreszcie na rok przygotowawczy po ukończeniu szkoły powszechnej (podkr. moje).

Komisje dążyć będą, by młodzież robotnicza i chłopska stanowiła 60 proc. ogólnej liczby młodzieży studiującej”.

Czy to nie jest straszna omyłka, gdy 60 proc. młodzieży z maturą odpadnie od egzaminów, bo tyle właśnie zabiorą im ludzie, którzy „przebrnęli” 6 lat szkoły średniej w dwa lata? Czyż nie jest omyłką kwalifikowanie kandydatów na stopnie nauki według ich „wyrobienia społecznego”? Jak należy to rozumieć?

Jasnym jest przecie, że podobne potraktowanie sprawy spowoduje katastrofalne obniżenie poziomu nauki. Człowiek z ukończoną szkołą powszechną, przy nawale innych zajęć nie opnieje ani języka obcego, ani algebry, ani nawet historii, a jednak będzie faworyzowany przy egzaminach konkursowych, czy może nawet w ogóle nie będzie ich zdawał!

Wobec tych widocznych korzyści przyjdzie w końcu oślnienie i ludzie „wyrobieni społecznie” będą sarkać na opieszałość rządu, który nie stworzył dla nich „równorzędnych” z rzeczywistym uniwersytemem półorazowych kursów uniwersyteckich (proporcjonalnie do poprzedniego skrótu), z dyplomem, ocywista. Podnosząc poziom kulturalny mas, nie można obniżać poziomu kulturalnego społeczeństwa, bo to prowadzi do nieuchronnej dewaluacji nauki.

Licealista

Szeroki horyzont

Jerzy Pertek

METAMORFOZA ADMIRAŁA DARLAN

Francuska flota wojenna czwartą w chwili wybuchu minionej wojny potęgą morską świata, nie odegrała w toku działań ani w przybliżeniu roli do jakiej została przez swych twórców predystynowana. Może dlatego jej głównodowodzący zdecydował się w działalności politycznej szukać sukcesów i zaszczytów, których na polach bitew krótki dla Francji przebieg wojny nie pozwolił mu zdobyć? Może potrzeba czynu pchnęła nieledwie w stanie spoczynku znajdującego się wodza, gnuśniejącego w bezczynności, podobnie jak i dowodzona przez niego flota, rdzewiejąca na kotwicach w porcie, do rzucenia się w wir wydarzeń politycznych? I to jest możliwe, choć niewykluczone i może najbliższa prawdy jest trzecia ewentualność, że do działalności politycznej powołał go marszałek Pétain, jako najodpowiedniejszego ze swych współpracowników. Świadczyłoby o tym zupełnie nieoczekiwane dojsię Darlana do władzy.

Nominację admirała floty François Darlana na wice-premiera (pełniącego obowiązki premiera) — w miejsce Laval — można nazwać ripostą Pétaina na niemieckie żądania oddania Niemcom pod kontrolę floty francuskiej i baz śródziemnomorskich, które fuhrer przedłożył Pétainowi 24 października 1940 roku, podczas spotkania w okupowanej Francji. Rozmowa Hitler — Pétain poprzedzona była rozmowami ambasadora niemieckiego Abetz z Lavalem i spotkaniem Hitlera z Lavalem, w wyniku których Niemcy nie spodziewali się specjalnego oporu ze strony sędziwego marszałka, zwłaszcza że mieli nie bylejaką atut w swych rękach: 2 miliony francuskich jeńców wojennych, nie mówiąc o groźbie zajęcia całej nieokupowanej Francji i przesiedlenia ludności francuskiej z Alzacji i Lotaryngii do Francji nieokupowanej (to ostatnie też częściowo nastąpiło). Niespodziewanie Pétain ani na cal nie ustąpił pod naciskiem gróźb. Wprawdzie zrazu się zgodził na objęcie przez Laval teki ministra spraw zagranicznych, kiedy jednak ten pojechał do Berlina w sprawie przeniesienia rządu Vichy do Wersalu, co równało się zupełnemu podporządkowaniu Niemcom, Pétain zaszkodził i Laval i Niemców, ogłaszając 14 grudnia usunięcie Laval z gabinetu i unieważnienie paragrafu nr 4 Aktu Konstytucyjnego, mianując go Lavala następcą Szefa Państwa. Narazie ministrem spraw zagranicznych ustanawia Pétain Flandina, jednak po dwumiesięcznych targach z Niemcami, dla których Flandin był persona non grata, daje temu ostatniemu dymisję i wysuwa na widownię polityczną admirała Darlana, głównodowodzącego floty, którą Niemcy chcieli wziąć pod swe skrzydła opiekuńcze. François Darlan mianowany zostaje wice-premierem (pełniącym funkcję premiera), ministrem spraw zagranicznych i wewnętrznym oraz desygnowanym następcą Szefa Państwa. Odąd przez czterdzieści miesięcy — do ponownego dojsia do władzy Laval — Darlan będzie faktycznym „władcą” nieokupowanej Francji i Imperium francuskiego, łącząc później w swych rękach naczelne dowództwo sił zbrojnych Francji i całego Imperium.

Wysunięcie Darlana, głównodowodzącego francuskiej marynarki wo-

jennej, do najwyższych w państwie godności, było doskonałą odpowiedzią na niemieckie roszczenia odnośnie floty francuskiej i baz, z drugiej jednak strony pogłębiło — po tragicznych anglo-francuskich rozdziewkach z czerwca 1940 roku i ataku brytyjskiej floty na francuską w lipcu 1940 roku — siłą rzeczy anglo-francuski dysonans. Tu Darlan całkowicie kontynuował antybrytyjską politykę Laval, w czym nie można się jemu, właśnie jemu — admirałowi francuskiemu, specjalnie dziwić. Nie należy bowiem zapominać, że krótki, trzydziestoletni okres brytyjsko-francuskiej entente cordiale nastąpił po dwuwiekowych zmaganiach brytyjsko-francuskich o władztwo mórz i kolonie, toczonech w Azji i Ameryce, głównie jednak na morzu... Nazwy wielkich brytyjskich zwycięstw La Hogue, Quiberon, Ushant, St. Vincent Abukir i Trafalgar — to równocześnie nazwy porażek i klęsk francuskich, brytyjscy admirałowie, czczeni po dziś dzień bohaterowie narodowi — Hood, Hawke, Anson, Rodney, Jervis czy Nelson — to wrogowie i przeciwnicy wielkich admirałów francuskich, takich jak Jean Bart, Tourville, Duquesne, de Grasse, Suffren. Nic więc dziwnego, że współcześni admirałowie francuscy, jako następcy i spadkobiercy myśli morskiej i tradycji tych właśnie walczących z Anglikami swych poprzedników, zachowali najwięcej antybrytyjskiego nastawienia, które — może ukryte i niewiadome — rozgorzało podsycone odwrotem BEF (brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego) z Francji poprzez Calais i Dunkierkę oraz atakiem na flotę francuską w Mers el Kebir. Najlepszym zobrazowaniem nastrojów panujących ówczesnie we francuskiej marynarce wojennej jest fakt że ani jeden z admirałów francuskich nie opowiedział się po stronie Wielkiej Brytanii i generała de Gaulle, nawet ci, których kapitulacja Francji zastała w portach brytyjskich. Dlatego też generał de Gaulle dowództwo swej nielicznej floty wojennej, płynącej pod znakiem Krzyża Lotaryngii — banderą Wolnych Francuzów, powierzył musiał w braku innych ludzi nielubianemu we flocie i powołanemu ze stanu spoczynku wice-admirałowi Muselier.

François Darlan zachowaniem swym i wypowiedziami zdawał się świadczyć, że z wszystkich antybrytyjsko nastawionych admirałów francuskich żaden nie dotrzyma mu kroku, tak co do ilości, jak i kalibru wypowiedzi, ataków i oskarżeń. Już w niespełna miesiąc po objęciu swych nowych stanowisk, Darlan konferował z Weygandem w sprawie obrony francuskich posesji w Afryce, skierowanej — co podkreślono w oficjalnym komunikacie rządu Vichy — nie przeciwko Niemcom lub Włochom, ale ewentualnym atakom Wielkiej Brytanii i sił generała de Gaulle. Kilka dni później, 10 marca 1941 roku, oświadczył Darlan, że „Niemcy są bardziej wspaniałomyślni i humanitarni, niż Brytyjczycy”. Dalej powiedział, że w wypadku kontynuowania przez Anglików ich „diotyczne” blokady, uzbroi francuskie statki handlowe i otoczy je eskortą jednostek wojennych. Oczywiście groźba Darlana nie spowodowała zaprzestania przez Anglików blokady i w trzy tygodnie później doszło do starcia zbrojnego w Cieśninie Gibraltarskiej

między brytyjskimi siłami lekkimi, które usiłowały zbadać eskortowany przez 1 kontr-torpedowiec francuski konwój, a lotnictwem francuskim. Stosunki francusko-brytyjskie (o ile można wogóle mówić o stosunkach między Francją Vichy a Wielką Brytanią) pogorszyły się jeszcze po ataku brytyjsko-degaulistycznym na Syrię oraz zatopieniu przez Anglików statków włoskich, płynących francuskimi wodami terytorialnymi, wzdłuż wybrzeży Tunisu.

W sierpniu 1941 roku Darlan dochodzi do szczytu swej władzy, kiedy Pétain dodaje do piastowanych przez admirała urzędów jeszcze dwa dalsze, mianując go ministrem obrony narodowej i najwyższym zwierzchnikiem lądowych, morskich i powietrznych sił zbrojnych Francji i Imperium. Jako „admiral floty” jest zresztą obok Pétaina jedynym wojskowym we Francji, noszącym rangę marszałkowską (ranga i tytuł „Admiral de la Flotte” wprowadzone zostały we Francji tuż przed wybuchem ostatniej wojny, zamiast dawniej używanych „Admiral de France”, jednak poza nazwą nie różnią się dystynkcjami).

Ten stan rzeczy trwa do kwietnia następnego roku, kiedy Lavalowi, od czasu otrzymania dymisji bezustannie intrygującemu i wspomaganemu przez twórców „legionu antybolszewickiego”, Dea'a i Doriot'a, udaje się ponownie wejść do rządu. Wprawdzie Darlan ulega perswazjom Szefa Państwa, aby — mimo oddania Lavalowi stanowisk premiera, ministra spraw zagranicznych i wewnętrznych — nie rezygnował z pozostałych godności (ministerstwo obrony narodowej i naczelne dowództwo), nie mniej wydaje się, że Darlan przeżył poważny szok i że następstwem urażenia jego ambicji byłoby rozmyślanie nad możliwością przejścia na „drugą stronę” do wrogiego obozu wojennego. Być może, nigdyby do tego nie doszło, gdyby nie nader sprzyjające warunki. Możliwe. Trudno myśleć co by było gdyby, skoro stało się właśnie inaczej. Bo, wymarzone wprost możliwości zmiany oblicza przyniosło lądowanie alianców we francuskiej Afryce Północnej, tym bardziej, że w chwili lądowania Darlan „akurat” na terenie Afryki się znajdował. Czy było to przypadkowe? Sądząc z roli, jaką tuż po lądowaniu i później Darlan w Afryce odegrał, należy przypuszczać, że raczej nie. Najlepiej zresztą mógłby o tem powiedzieć, gdyby chciał, ówczesny ambasador amerykański w Vichy i późniejszy doradca wojskowy Roosevelta, admirał Leahy, pozostający w bardzo bliskich stosunkach z Weygandem. Faktem pozostaje, że już następnego dnia po lądowaniu alianckim w Oranie, Casablance i innych głównych punktach północno-zachodniej Afryki, obwieśczone zostały rozkazy Darlana do wszystkich dowódców francuskich w Afryce, żądający zaprzestania walki, i że rozkaz ten wydany został w porozumieniu z głównodowodzącym alianckim w Afryce, generałem Eisenhowerem. Darlan sam oświadczył później, że obecność jego (a także i jego żony) w Afryce spowodowana została poważną chorobą przebywającego tam jego syna, ale i to mogło być niczym więcej, jak przypadkiem rzeczywistym, lub też dobrze wyreżyserowanym.

Jakkolwiek było, pojawienie się Darlana w Afryce było wielką niespodzianką nie tylko dla Anglików i popieranego przez nich generała de Gaulle, ale i dla Amerykanów lansujących zbiegłego z niewoli niemieckiej generała Giraud, przeznaczonego początkowo na Wysokiego Komisarza Afryki Północnej. Całe zresztą sześciotygodniowe „rzędy” Darlana w Afryce przypominają awanturniczy film, w którym jedna niespodzianka goni drugą i którego bohaterzy znajdując się to na, to pod wozem, narazem się arestują i niczym Deus ex machina ponownie wyskakują na widownię.

Pierwszym arestowanym był sam Darlan, zamknięty wraz z generałem Juin (inspektorem sił lądowych w Afryce) przez generała Giraud. Ten ostatni, wielki żołnierz i nie mniejszy patriota, zamiast objąć samemu przyrzeczone mu przez Amerykanów stanowisko Wysokiego Komisarza, zwolnił Darlana, kiedy ten wyraził zgodę na współpracę z aliantami (działo się to przed ukazaniem się pierwszego, uprzednio opisanego rozkazu Darlana do francuskich dowódców w Afryce), a sam zgodził się objąć podporządkowane Darlanowi stanowisko głównodowodzącego sił zbrojnych w Afryce.

Jak zareagował na metamorfozę swego najbliższego współpracownika Pétain? Prowadzona na falach eteru „rozmowa” Pétain z Darlanem jest chyba jedyną tego rodzaju w historii minionej wojny. Jej cały komizm polegał na wmawianiu Pétainowi przez Darlana, że jest on (t. zn. Pétain) pozbawiony swobody działania i że do czasu, kiedy się to nie zmieni, Darlan będzie sprawował władzę za Pétaina, gdy tymczasem ten ostani stanowczo zaprzeczał i odsądzał admirała od czci i wiary, podobnie, jak uprzednio postąpił z generałem Giraud. Poszczególni dowódcy francuscy w Afryce zostają zresztą wypowiedziami admirała wprowadzeni w błąd i początkowo przypuszczają, że Darlan działa nie tylko w imieniu marszałka, ale i z jego polecenia. W swej proklamacji w dniu 15 listopada Darlan wyjaśnił, że 9 listopada otrzymał telegram od marszałka, w którym ten wyraża swe zadowolenie z obecności admirała w Afryce i całe zaufanie, jakie w nim pokłada. Dalej, oświadczył, że generał Nogués, były rezydent generalny w Marokku, mianowany przez Pétain gubernatorem generalnym Afryki Północnej w czasie, kiedy Pétainowi jeszcze nie było nic wiadome o losie Darlana (8 listopada), za pełną zgodą Pétaina przybył do niego i rzekł się na jego rzecz władzy w Afryce Północnej. Wreszcie, Darlan wezwał żołnierzy do dochowania wierności Pétainowi i jemu, jako wykonawcy rozkazów marszałka.

Odpowiedź Pétaina przewidywała gwałtowność wszystkie dotychczasowe wypowiedzi. „Admiral sam się wyłączył poza nawias społeczeństwa francuskiego — oświadczył Pétain. — Ogłaszam go za pozbawionego wszystkich urzędów i dowództwa wojskowego”. — Następnego dnia wydał Pétain akt konstytucyjny, desygnujący (po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch lat) Laval swoim następcą, jako Szefa Państwa.

Darlan zachował się, jakby odpowiedź Pétaina wogóle nie doszła jego uszu i swoją pierwszą proklamację po wyzuciu go przez Pétaina z

urzędów i dowództwa, podpisał jak dawniej; Admirał Darlan, sprawujący władzę za marszałka Pétain.

Tu już Pétain był bezradny i nie mógł przekonać obywateli francuskich w Afryce, że admirał nadużywa jego nazwiska. Zresztą nadszedłszy wydarzenia dostatecznie ukarały Darlana za jego dwulicową politykę. Prezydent Roosevelt oświadczył 17 listopada, że z uwagi na wydarzenia ostatnich dwóch lat nie można z admirałem Darlan zawrzeć żadnych trwałych układów i że na żadnym terytorium francuskim nie może być choćby częściowo rekonstruowany rząd Vichy, zaś z admirałem Darlan prowadzi się rozmowy jedynie w bieżących sprawach lokalnych. Innymi słowy powiedziano Darlanowi, że narazie jest złem koniecznym, a admirał mógł sobie doświadczać resztek, że Amerykanie uznają go narazie tylko ze względu na „popularność”, jaką uzyskał wśród ludności francuskiej w Afryce, występując rzekomo w imieniu marszałka, mającego tam duży mir i posłuch.

W dziesięć dni później nastąpiło samozatopienie się francuskiej floty wojennej w Tulonie. Na przykładzie jej smutnego końca mógł się Darlan przekonać najlepiej ile on, głównodowodzący floty, zdziałał dla niej i dla Francji w ciągu ostatnich dwóch lat. Wtedy lepiej, niż kiedykolwiek mógł zobaczyć, że on sam był jedynym, może nawet pierwszym grabieżcem tej potężnej i dumnej floty, on kunktator, którego metamorfoza nastąpiła w najlepszym dla niego, ale z pewnością nie dla tej floty, czasie. I kiedy latem 1940 roku jeden jego rozkaz mógł tę flotę uratować i dla Francji i dla wspólnej sprawy aliantów, jesienią 1942 roku, gdy dopiero po inwazji w Afryce zdecydował się Darlan zejść z błędnej drogi, było już zapóźno. Flota nie miała paliwa, niemieckie i włoskie okręty podwodne strażowały u wrót Tulonu, oddziały pancerne okalały miasto i port. Zresztą dowódca floty, wice-admirał de Laborde wcale nie był zdecydowany kogo ma słuchać, Darlana, czy Pétaina. Ostatecznie posłuchał tego ostatniego. Po dwóch latach bezczynności łatwiej było dalej gnuśnieć w porcie, niż rzucić się w wir wojny, przeciwko potężnym i bliskim Niemcom. Załogi okrętów myślały jednak inaczej i gdy przyszło do wybrania: oddać okręty w ręce boszów, czy zatopić je, zatopiły bez najmniejszego namysłu. A topiąc dumne okręty, noszące wielkie imiona wodzów i miast: Foch, Colbert, Duquesne, Dunquerque i Strassbourg, uratowały honor Francji.

Admirał Darlan nie długo przeżył swoją „byłą” flotę, której naczelnego dowództwa pozbawiony został przez Pétain w połowie listopada. Jeszcze raz szczęście zdawało się uśmiechać do niego, kiedy Amerykanie zgodzili się uznać go na początku grudnia Wysokim Komisarzem Imperium Francuskiego, sprawującym władzę de iure i de facto. Powodzenie trwało jednak krótko. W dzień wigilijny, 24 grudnia 1942 roku, kula mordercy zamachowca przecięła nie żywota admirała François Jean Darlana, byłego głównodowodzącego francuskiej floty wojennej, późniejszego premiera i ministra rządu Vichy oraz następcę Szefa Państwa, wreszcie — pierwszego Wysokiego Komisarza Imperium Francuskiego

Jerzy Pertek

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-86005